

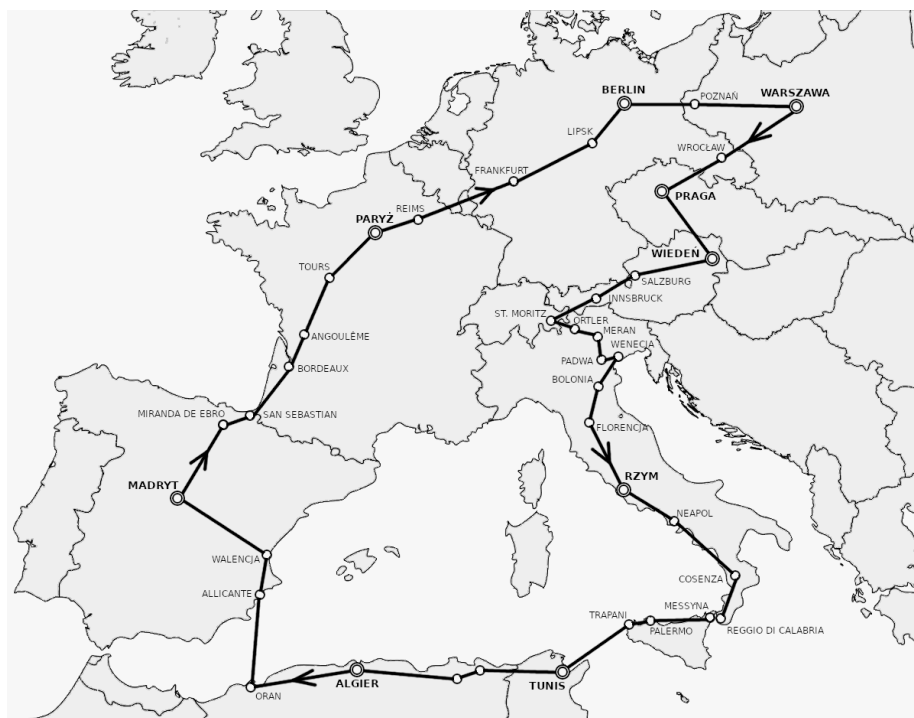
# Na szlaku Warszawa-Afryka-Warszawa



JAN MASONSKI

# Na szlaku Warszawa-Afryka-Warszawa

KARTKI Z PODRÓŻY MOTOCYKLEM



## Trasa przez dwa kontynenty

Każdego z nas ciągnie myśl w świat szeroki. — Świat! Pomyśleć tylko. Nieznana przestrzeń przed nami. Kraje i ludzie, o których się słyszało w szkołach i czyta się codziennie w gazetach.

Nie dziwię się zupełnie, słysząc niekiedy lub czytając o ucieczce młodych chłopców w świat.

On jest wart poznania, jesteśmy bowiem obywatelami całej kuli ziemskiej i za nudno jest niekiedy silnej jednostce żyć we własnym kraju, gdy się wie o cudach naszej Matki Ziemi.

Myśl o poznaniu choćby części jej prześladowała mnie od dawna. Dlatego nauczyłem się jeździć na motocyklu.

Im bardziej poznawałem zalety mego stalowego rumaka, tym bardziej ciaśniejsze były mi granice naszej kochanej Ojczyzny.

Na nim poznałem wszystkie jej dzielnice, ich piękność, odrębność, zagospodarowanie. W czasie wycieczek na dalekie kresy Zachodu, Południa i Wschodu myśl gonila przez granice, ciekawa, co jest za nimi.

Ta myśl towarzyszyła mi ciągle w podróżach po Polsce i stała się wreszcie natrętna.

Nie mogłem się pozbyć inaczej natręta, jak tylko zadowolić go czynem.

Nie ma w świecie nic radośniejszego jak oblekać lotną myśl w kształty cielesne czynu, samemu. Koroną działań człowieka jest budowa wszelka, pod każdą postacią. Składa się na nią nie tylko wysiłek mięśni, ale przeważnie także zmysł organizacji tworzenia, te komórki mózgowie, w których jak w młynie miele się tworzący czyn, odrzucając balast i tworząc strawę godną ludzkiego pożywienia.

Przyznam się, dumny jestem z organizacji mego rajdu. Powiedzieć sobie: wyjeżdżam — to jest jeszcze mało. Warunki trzeba stworzyć. Gdybym był zamożny, poszłoby mi niesłychanie łatwo. Warunki się kupuje i basta. Nie jest to jednak sztuką. Kunsztem śmiało nazwę i wy mi przyznacie zgodnie wszyscy — wybrać się z zasobem tylko niezbędnej gotówki, tak aby nie zabrakło na życie, a przede wszystkim na strawę dla maszyny: na paliwo i smary. Człowiek zadowoli się zawsze czymś piękniejszym od codziennego chleba, aby wytrwać w postanowieniu. Natura ma tak cudowne kształty, takie dziwy i wspaniałości, że w obliczu ich zapomina się o posiłku. Dusza sportowca kocha piękno, sport bowiem z niego się zrodził. Sport — szeroki czyn władzy ludzkiej nad żywiołami świata.

Po cóż zatem trudzić będę was opisem, jak zorganizowałem rajd? Chciało mi się wjechać i pojechałem.

Dla spotęgowania obrazu bezwzględnie muszę dodać, nie jechałem sam. Motocykl mój marki Harley, 1200 ccm<sup>1</sup>, z przyczepką, pożerając dziennie po parę setek km, niósł mój ciężar, mojej żony, naszej znajomej pani W. Kluczyńskiej, no i drobnej istoty, łaskawej psinki Sójki. Proszę do tego dodać jeszcze bagaże osobiste (około 100 kg), zapasowe koło, parę litrów zapasowych materiałów pędnych itp. Nad tym wszystkim ja, jako prowadzący motor, w drodze uważać musiałem na każde załamanie drogi, każdy wybój czy kamień, myśląc w dodatku, czy będzie dobry nocleg, czy na stacjach nie zabraknie benzyny lub czy kto z towarzyszy nie zachoruje.

W tym wypadku o samym sobie się nie myśli.

Kiedy wczesnym rankiem słonecznym 27 czerwca ub. r. wyruszamy z placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie wraz z ppłk. Siczkiem Stan., jadącym „solo” na również tej samej marki maszynie, za nami już są — biegania paszportowe, duszenie pieniędzy i gruntowny przegląd maszyn przed tak dalekim rajdem.

Drogi w Polsce nie należą do dobrych, a mimo to po niespełna ośmiu godzinach jazdy przez Piotrków dobijamy do punktu granicznego „Słupia”<sup>2</sup> (Kl. Kössel).

Dzień piękny zatarł wspomnienia niezupełnie dobre o samej drodze. Wyrwać się z Warszawy to nie lada wysiłek. Drogi wjazdowe do stolicy jakby pasmo fortyfikacji odstraszały nacierającego na Warszawę i gubią odwagę w dezerterach z tej twierdzy zakochania się w przeszłości, która nie wiadomo czemu rwie duszę warszawiaka w czasy, które nie znały poza rowerem nic postępowszego. W czasie drogi po kocich łbach podwarszawskich klnie się z przyzwyczajenia magistrat i w ogóle wszystko tak zwane samorządne. Wjazd i wyjazd do prawie wszystkich miast i miasteczek jest prawie jednakowy. Wprost nasuwa się myśl powszechnej zмовy magistratów, aby mieszkańcy nie uciekali z miast. Wiadomo przecie — myślą radni miejscy — kupi taki odważny motocykl, będzie jeździł po świecie — a kto ojczystemu jego miastu da podatki? Przecież są potrzebne radnym miejskim, chciałem powiedzieć raczej: Radzie Miejskiej. Ona zrobi z nich użytek. Zbuduje drogi asfaltowe w alejach, na placach i na ulicach, gdzie mieszkają radni. Przedmieścia mogą poczekać. Tyle dziesiątek lat czekały, mogą jeszcze parę wytrzymać.

Krajobraz nie tyle nieciekawym, co jednostajnym. Pola złocą się dojrzewającym zbożem, daleki horyzont płaski, łamany linią granatową sosnowych lasów. Wspaniałe powietrze,

Podróż, Maszyna

Droga, Władza

Lato

<sup>1</sup>ccm — skrót z ang. *cubic centimeters*: centymetr sześcienny (cm<sup>3</sup>), jednostki używanej do określania pojemności skokowej silnika. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>„Słupia” — międzywojenna placówka Straży Celnej na granicy polsko-niemieckiej, położona we wsi Słupia pod Bralinem (w ob. woj. wielkopolskim, w powiecie kępińskim), na drodze do znajdującej się po stronie niemieckiej placówki Kl. Kosel. [przypis edytorski]

balsamiczny oddech zbóż, cisza poranka przechodząca powoli w rozgwar rozbawionej słońcem i ciepłem natury. Koniec czerwca — śliczne polskie lato.

Blisko pół godziny formalności paszportowych (celnych) i wjeżdżamy w ziemię prastarego dziedzictwa Piastów w kierunku Wrocławia. Drogi wspaniałe, toteż pozwalamy sobie na poważne zwiększenie szybkości, bo do 116 km/godz. Dobrym drogom odpowiadają piękne widoki i krajobrazu nie psuje ład niemiecki w urządzaniu miast i wsi, owszem łączy je w milej dla oka całości i mimo woli człowiekowi nasuwa się pytanie, kiedy my we własnym państwie do tego dojdziemy, a będą szczerzy, aby wyznaczyć, że do naszej polskiej fantazji koniecznie jest nam potrzebny i stały system pracy.

Przy tak rozwiniętej szybkości niedługo wjeżdżamy do Wrocławia i jak to się zdarza w drodze, w dodatku na obcym terytorium, łatwo jest o awanturę.

We Wrocławiu trafia się nam jedno potrącenie samochodu, ale od protokołu policyjnego ratuje nas osobiście uczciwy Niemiec, który jadąc za nami, obserwował całe zajście i z nas oskarżonych zrobił oskarżycieli. Dobrze, że się na tym skończyło. W komisariacie policji niemieckim starym bismarckowskim<sup>3</sup> stylem z pewnością byłoby inaczej. Kierując się tym, nie popasamy długo na niemieckim Śląsku i w krótkim czasie po posiłku w restauracji jedziemy drogą ku Pradze czeskiej.

Co kraj, to obyczaj! W Czechosłowacji jazda lewą stroną drogi, do czego trzeba się po pewnym czasie przyzwyczaić. Stan dróg niemniej tak dobry jak niemieckich, mniej tylko drogowskazów, przez co traci się czas na wypytywanie o kierunek dalszej drogi. W tych warunkach zamiar nasz osiągnięcia Pragi (630 km) w tym samym dniu nie udał się — nocujemy o 100 km przed Pragą, w Trutnie<sup>4</sup>, w „Narodnym Domie”. Schludny nocleg, dobra kolacja i tanie, znakomite, czeskie piwo.

Rankiem 28 czerwca, a była to niedziela, jedziemy ku Pradze. Po drodze widzimy pracę na polach pomimo święta, gdyż jest to okres żniw, a za długo trwająca gorąca pogoda powoduje obawę przed nawałnicą. Widać w tym czeską przezorność i nie dziwota, że pracownicy obywatele Czechosłowacji w dobrym ładzie gospodarczym utrzymują swoją małą republikę.

Przed południem jesteśmy w Pradze, którą oglądamy po raz pierwszy w życiu. Robi na nas bardzo dobre wrażenie: schludna, rojna od wesołych i uprzejmych ludzi, pełna gmachów świadczących o wielkiej tradycji i dobrym smaku architektonicznym. Nazywają ją Czesi „Złotą Pragą”. Stwierdzamy, że to nie jest przesada. W Pradze tak nam jakoś wypada, że jemy obiad nie w czeskiej restauracji, ale znajdujemy go w restauracji „kaukaskiej”, obsługiwanej przez rosyjskich emigrantów, dawnych „panów i pań” z wysokich sfer petersburskich. Zarabiają oni ciężko na kawałek chleba kelnerką, tańcem i śpiewem. Czy nie taki był ongiś los naszej emigracji? Chyba nie? — zapytujemy samych siebie. Inteligencja nasza znajdowała chleb za granicą w godziwszych zarobkach.

Z czeskiej osobliwości zostaje nam tylko sławny prawdziwy pilzner<sup>5</sup> i czeskie kwargle<sup>6</sup>.

Dzień piękny i gorący, a po sumiennie zaspokojonym pragnieniu kierujemy się drogą na Austrię do Wiednia (312 km). W drodze mijamy setki motocyklów powracających ku wieczorowi do Pragi. To są właśnie wyniki dobrego utrzymania dróg, w postaci ogromnie silnie rozwiniętego sportu motocyklowego. Zaznaczyć wypada, że w każde pogodne święto i niedzielę tabuny „żelaznych rumaków” wybiegają z Pragi i dzięki wspaniałym drogom przemierzają setki kilometrów na świeżym powietrzu i pod ożywczymi promieniami słońca. Tam bez zbytej odwagi wyjeżdża się za miasto.

Jaka stolica, taki kraj! Mijamy schludne czeskie wsie, spotykani ludzie pewni siebie, co się wyczytuje z twarzy, świętują dzień Pański. I co ciekawe, przy takiej konsumpcji piwa, jaką się chlubią Czesi, nie spotykamy pijanych zawałających drogi.

Przed dojazdem do granicy austriackiej wypada nam nocować we wsi czeskiej. Nocleg znajdujemy w domu prywatnym, bardzo gościnni ludzie chętnie udzielają nam czystego

Droga

Alkohol, Pijaństwo

Gospodarz

<sup>3</sup>bismarckowski — tu: taki, jak pod rządami Otto Bismarcka (1815–1898), konserwatywnego polityka pruskiego, który dokonał zjednoczenia Niemiec (1871), budował silne państwo i w tym celu prowadził antypolską politykę germanizacyjną. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Trutnov — miasto w pln. Czechach. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>pilzner — gatunek jasnego piwa produkowany w Pilźnie, w zach. Czechach. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kwargle — czeskie serki dojrzewające, uformowane w krążki, otrzymane z mocno posolonego, niekiedy zaprawionego kminem twarogu, produkowane gł. na Morawach. [przypis edytorski]

pomieszczenia i w tych warunkach, nie chcąc wykorzystywać gospodarzy, ograniczamy kolację do zakresu domowego, a więc: jaja, mleko i chleb.

Bardzo wczesnym rankiem 29 czerwca przekraczamy granicę i po nieszczęśliwych drogach, po których jedzie się również lewą stroną, o godzinie pierwszej w południe zawitaliśmy do Wiednia. Miasto znalazłem dobrze przed laty z jego świetnych cesarskich czasów. Już na pierwszy rzut oka widać rażącą różnicę na ludziach. To nie są już ci uśmiechnięci beztrudnie wiedeńscy. Na rysach twarzy znać szczyrby pogoni za ciężko zdobywanym kawałkiem chleba.

W Wiedniu zostajemy dwie doby. Znając Wiedeń bodajże szczegółowo, w następnym dniu z motocykla pokazuję towarzystwu to, co warte obejrzenia.

Sława dawnej cesarskiej siedziby długo jeszcze pysznąć się będzie Schönbrunmem<sup>7</sup>, tumem<sup>8</sup> św. Szczepana<sup>9</sup>, Praterem<sup>10</sup>, zamkiem cesarskim<sup>11</sup>, muzeami i teatrami — świadkami minionej sławy, bogactwa i chwały. Gorzej jest z mieszkańcami, ci głośno narzekają w restauracjach i kawiarniach na obecne ciężkie czasy i mam wrażenie, że nie z nałogu, jak u nas w Warszawie, ale wiedeńscy mają na co narzekać. Trudniej tam o szylinga<sup>12</sup> niż u nas o 5 złotych, toteż Wiedeń dba o cudzoziemców.

Cudzoziemiec spotyka się nadal z uprzejmą obsługą, a jako znak czasu godny zanotowania, na każdym kroku przy tym z propagandą zwiedzenia małej Austrii. Niemal wszędzie wtyka się cudzoziemcowi w formie broszur zaproszenie do zwiedzania okolic Wiednia, Semmeringu<sup>13</sup>, Alp itp. Jest to troska o tak trudny dzisiaj pieniądz, który za cesarskich czasów lekko przychodził wraz z „poddanymi” do stolicy. — Robi się to jednak umiejętnie, kulturalnie i z domieszką tradycji.

Cudzoziemiec chętnie zwiedza austriackie wspaniałości, bo go nie odstręczają wyzyskiem.

Pierwszego lipca o godz. trzeciej nad ranem startujemy pełni odwagi, aby przez dzień przebyć masyw górski w kierunku Salzburga (304 km) do właściwych Alp.

Drogi austriackie za Wiedniem ku Alpom nieszczęśliwe, często wyboje i dość sporo kurzu. Im bardziej zbliżamy się do Salzburga, krajobraz zaczyna nabierać cech wykwiutnego pejzażu. Droga prowadzi przez podgórze alpejskie. W kierunku drogi sine linie potężnych Alp ścieśniają horyzont. Wjeżdżamy powoli z każdym dziesiątkiem kilometrów w królestwo najwyższych gór Europy. Z obu stron ciągną się łańcuchy wzgórz, przechodzących z łagodnych pagórkowatych szczytów w poszarpane coraz bardziej skaliste wierzchołki. Lasy towarzyszą nam coraz częściej, przeważnie to świerk lub sosna. Powietrze zalatuje żywicą. Wiatr chłodzi łagodnie. Czuje się w nim jednak ostry czasami odcień chłodu wysokogórskiego, stamtąd ciągnie ten wiatr mocny, upojny jak stare wino.

Góry

Zaludnienie, im bliżej ku Alpom, rzadsze. Napotykanne wsie bywają skupione, zawsze nad jeziorem lub rzeką. Ponad niskie murowane domy odcina się willa lub grupa willi, białych na niepokalanej bujnej zieleni.

Ruch na drogach nieszczęśliwy. Zauważyć się daje łatwo, że mijamy samochody przeważnie turystyczne o obcych markach. Ciekawy rys na tych drogach, bardzo charakterystyczny, uderzył nas. Ilekroć razy zatrzymaliśmy się celem krótkiego odpoczynku przy drodze, przejeżdżające auta lub motocykle zatrzymywały się i kierowcy pytali się, czy czego nie potrzebujemy. Wspaniale to świadczy o powszechnej pomocy turystom. Zwyczaj ten wyrobił czas i doświadczenie.

Koło godz. drugiej dobijamy wreszcie do miasta. Salzburg od razu nam się podobał. Rozłożony jest nad rzeką na górzystym terenie, z ciekawym sposobem rozbudowania miasta, przystosowanym do skalistego terenu. Salzburg należy do miejsc, które długo się

<sup>7</sup>Schönbrunn — pałac wraz z parkiem w Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>tum (daw.) — kościół katedralny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>tum św. Szczepana — gotycka katedra św. Szczepana, jeden z symboli Wiednia, najważniejsza świątynia w stolicy Austrii. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Prater — park w Wiedniu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>zamek cesarski — tu: Hofburg, dawna rezydencja cesarskiej rodziny Habsburgów w Wiedniu, jeden z największych kompleksów pałacowych na świecie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>szyling — dawna jednostka monetarna Austrii (1925–1938 oraz 1945–2001). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Semmering — gmina uzdrowiskowa oraz ośrodek narciarski w Austrii, na przełęczu Semmering; od XIX w. popularne miejsce wypoczynku zamożnych turystów z Wiednia. [przypis edytorski]

pamięta. Znajdujemy na ulicach żywy ruch, bardzo wielu przechodniów ubranych w charakterystyczne stroje tyrolskie, a wyczuć się da w tłumie, że sporo w nim jest turystów ściągniętych z różnych stron Austrii, a nawet świata do centralnego punktu, z którego zaczynają się wędrówki po Alpach. Wieczór robi imponujące wrażenie, gdy z radiostacji umieszczonej na niedostępnej wysokiej skale, do której dojazd stanowi prostopadła kolejka linowa, zaczynają zapalać się bardzo silnie reflektory, przemieniając miasto w zaczarowane widoki z bajki. Cóż można przy tym powiedzieć o mieszkańcach Salzburga, jak nie to, że są pod względem gościnności i uprzejmości podobni do wiedeńczyków.

Po dobrym wypoczynku następnego dnia (z VII) wczesnym rankiem wjeżdżamy w łańcuchy górskie — na Innsbruck, najbardziej karkołomnym odcinkiem dotychczasowego rajdu. Harley pnie się w górę, aby później w szalonym tempie w załamaniach i serpentynach zjeżdżać aż do dolin górskich i aby znów za chwilę przebywać w mroźnych rejonach szczytów gór. Droga ta prowadzi przez królestwo ciszy górskiej, tak wspaniałe jak wspaniałe jest połączenie przepastnych urwisk z taflami jezior górskich. Z każdej strony osiągniętej przez nas góry otwierają się nam coraz nowe widoki i nie sposób się połapać, które z nich piękniejsze. Za to sama jazda wymaga zupełnego opanowania nerwów, a tym samym ostrożności aż do ostatnich granic. Spotykamy prawie na każdym zakręcie tablice ostrzegawcze z groźną trupią czaszką lub tylko pojedynczy napis „Tott” (Śmierć). Muszę dodać, że brzegi dróg od strony przepaści nie są obramowane barierami, przeto jazda jest prawdziwym tańcem nad przepaścią. Harley mój dalej pnie się w pełnym gazie z dolin, gdzie gorąco przypomina krainy wiecznej wiosny, aż do mocarstwa śniegu. Zjazd z gór podobny jest do zabawki w młodości praktykowanej na poręczach schodów lub oglądanej w lunaparkach. Na takie zjeżdżanie w dół tylko dobrze wytrenowany motocyklista i pewny swojej maszyny może się odważyć, gdyż co chwila grozi mu runięcie na tzw. „zbity łeb”. Imponuje nam, gdy na szczytach gór widzimy na równi z sobą tylko sąsiedztwo nagich skal i bezmiar wiecznych lodów. Mało kiedy szczyty gór nie dosięgają do miary wysokości 2000 m, a często nawet je przekraczają. W takich warunkach człowiek tęskni do jakiegokolwiek bliższego miasta, gdyż uwagę jego rozrywa myśl, aby te góry wraz z zakrętami raz nareszcie się skończyły. Ku wieczorowi mijamy Innsbruck i daleko za nim zatrzymujemy się w spotkanej przy drodze oberży, która przyjmuje nas dobrym posiłkiem i noclegiem. Alpejskie powietrze, którego nałykaliśmy się dzień cały, dodaje nam dobrego apetytu i sprowadza bardzo smaczny sen.

Trzeciego lipca przed wschodem słońca startujemy dalej, jeszcze przed nami będą ciągle góry, choć już Austria będzie się kończyć, ale zaczyna się znowu górzysta Szwajcaria, w którą wjeżdżamy. Bardzo dobrze pamiętam moment wjazdu w granice najstarszej w Europie republiki. Minimalne formalności celne, ciekawy strój straży granicznej w charakterystycznych kepi<sup>14</sup> i co dziwne, i co od razu spostrzegamy na wstępie, że przeważnie Szwajcarzy nie grzeszą wysokością wzrostu.

Widoki przesuwiają się jak w kinematografie. Na dobrych drogach spotykane domostwa, dawno już nam znane od lat dziecińczych z krajobrazów. Wspaniały widok przy jasnym, wysokim niebie górskim przedstawia plama czarno-białych pasących się sławnych krów szwajcarskich. Zaznaczyć muszę, że od młodości już tyle się czyta, nasłucha i napatrzy się człowiek z książek i obrazów na Szwajcarię, że przyjechawszy do niej, odczuwa się pełne wrażenie powrotu po latach do drugiej ojczyzny.

Ogromnie ciekawi byliśmy kraju, dokąd chronił się w czas zaborów i prześladowań kwiat tego wszystkiego, co Polska miała najlepsze, gdy w Ojczyźnie zaborca żyć nie dawał. W tym przecież kraju spokojną starość po spracowanym żywocie znalazł Kościusko. Najpiękniejsze perły poezji Słowackiego i Krasińskiego w obliczu potężnych masywów górskich się narodziły. Tu dowiaduję się, że jednym z pierwszych Europejczyków, który rozpoczął turystykę wysokogórską, był nie kto inny jak Malczewski<sup>15</sup> — twórca *Marii*. Były to czasy jeszcze bardzo dalekie kolei, samochodów i motocyklów. Widać z tego, że nasza rasa nie tylko umie osiągać wyżyny ducha, ale i przestrzeni.

<sup>14</sup>kepi — sztywna czapka wojskowa o kształcie walca, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Malczewski, Antoni (1793–1826) — autor powieści poetyckiej *Maria*, poeta romantyczny tzw. szkoły ukraińskiej, pierwszy polski zdobywca Mont Blanc. [przypis edytorski]

To wszystko jest bardzo piękne, ale droga i czas mają swoje wymagania. Dobijamy do St. Moritz, aby stąd zmienić zasadniczo kierunek jazdy. Przed nami, przed rajem włoskim, dokąd zdążamy, jest do zdobycia najwyższa w czasie naszej jazdy spotykana góra, w paśmie grupy alpejskiej Ortler. Pnięcie się pod górę mojej maszyny, przechodząc kolejno z biegu trzeciego do pierwszego, szło jeszcze jako tako. Po przeszło godzinnym windowaniu się serpentynami stajemy na przełęczy, położonej na wysokości 2330 m, i oczom się nie chce wierzyć, że wzdłuż drogi leży śnieg w lipcu. Aby dosadnie o jego istnieniu się przekonać, zabawiamy się trochę rzucaniem śniegowych kulek. Roztaczający się stąd widok jest zachwycająco ładny i groźny zarazem.

Gdy rzuciłem okiem na drugą stronę przełęczy, przyznam się, że chwilowo zabrakło mi odwagi do dalszej jazdy ze szczytu. Widać jak na dłoni serpentynę w kształcie olbrzymiego węża, przypartego do prawie prostopadłego zbocza góry. W tych warunkach człowiek musi mieć doskonale opanowane nerwy, aby przedsięwziąć wszelkie ostrożności. Zjeżdżamy pierwszym biegiem, zabezpieczeni przy tym wszystkimi hamulcami. Na każdym zakręcie serpentyny inny widok, to chwilowo daje zapomnienie o istotnych szalonych trudnościach drogi, zatem przyznam się, że motocyklista za wysiłek i odwagę jest najhojniej nagrodzony całą przesuwaną się karawaną najrozmaitszych mistrzowskich pejzaży.

Kiedy po męczącym zjeździe odetchnąłem pełną piersią u podnóża gór, ogarnęło mnie dziwne uczucie podziwu dla maszyny obciążonej tak nienormalnie. Przecież to nie jest żyjący twór, ale dzieło rąk ludzkich, żelazo przekształcone w posłuszne człowiekowi jakieś utalentowane zwierzę, w które człowiek tchnął część swojego talentu. Gdyby mój harley był koniem lub mułem używanym do zdobywania gór, z pewnością dałbym mu z wdzięczności parę dni potem odetchnąć i wypocząć. Nam jednak się śpieszy, niebezpieczeństwo przeszło i zapomniano się zaraz o nim, tym bardziej że i najpiękniejsze góry w takich okolicznościach w końcu się sprzykrzą.

Jesteśmy po drugiej stronie Alp. Na granicy włosko-szwajcarskiej lekka rewizja paszportów i bagaży. Godzina jeszcze jazdy i wieczór zmusza nas nocować w małej włoskiej wiosce.

Pełno jest obecnie w prasie o faszystowskich Włochach. Podobno „Il Duce”<sup>16</sup> pchnął rozwój i kulturę Włoch naprzód. Podobno! Na pierwszy rzut oka w pierwszej wiosce włoskiej nic podobnego się nie widzi.

Widzieliśmy ład, porządek, czystość w wioskach alpejskich Austrii i Szwajcarii. Miło patrzeć. Wejdźcie do środka domu! Nie kłamie, zupełnie jak na filmie grającym dramat czy komedię z tych stron. Ludzie czysto ubrani, urządzenie dostatnie, a choć czasami i uboższe, to znać na nim staranie o wygląd.

Pierwsza wioska włoska — i jaka zasadnicza odmiana. Czuć brud na ludziach i na obejściu. Nasze wsie polskie to cała gama wyższych stopniowań. Chłop nasz ma smak, lubi bowiem oznaki kultury w postaci wygodnego mieszkania. Gosposie nasze z całą bandą lśniących glinianych garnków mogą tu być nauczycielkami higieny w gotowaniu. Tu znajdziecie jeszcze piec z okapem, bez blachy. Po prostu wiszą na drutach garnki osmolone i niemyte! Zamiast blachy dwie cegły, między którymi tli się ogień podniecany miechem. Popiół leci w garnek i na izbę, dym uchodzi częścią przez komin, częścią na pokój.

Miałem inne wyobrażenie o powitaniu ziemi włoskiej. A nasze panie? Szkoda, że nie było na miejscu jakiego wybitniejszego faszysty. Dostałby za swoje.

Wjazd nasz do wioski robi sensację pierwszej klasy. Powodem jest nasz piesek w motocyklu, w dodatku noszący okulary. Rozlegają się nawoływania „Kania, kania” (pies). Tego jeszcze nie widziano, zapewne jak długo istnieją Włochy, aby pies jechał moto-

Góry, Droga

Maszyna

Wieś, Brud

Pies

<sup>16</sup>*Il Duce* (wł.: Wódz) — Benito Mussolini (1883–1945): włoski polityk, założyciel i przywódca ruchu faszystowskiego; w 1922 dokonał zamachu stanu i stanął na czele rządu; od 1925 dyktator Włoch; podpisał traktaty laterańskie regulujące stosunki Włoch z Watykanem (1929); prowadził agresywną politykę zagraniczną: dokonał podboju Etiopii (1935–1936), udzielał wojskowego wsparcia gen. Franco podczas wojny domowej w Hiszpanii (1936–1939), zawiązał sojusz z Niemcami (tzw. Oś Rzym–Berlin, 1936), zaanektował Albanię (1939), usiłował zdobyć Grecję i Egipt; po wyładowaniu aliantów na Sycylii w 1943 odsunięty od władzy, utworzył satelickie względem Niemiec, marionetkowe państwo z rządem rezydującym w pfn. Włoszech w Salò; schwytany przez komunistycznych partyzantów w 1945 i rozstrzelany. [przypis edytorski]

cyklem. Maszyna to nic, my w podróży strojach także. Ale pies na maszynie — to sensacja. Biorą nas przede wszystkim za wędrowny cyrk.

Z rozmową na początku idzie bardzo źle. Próbuje się po niemiecku — nie idzie; po francusku nie rozumieją również. Żona wpada na pomysł rozmawiania po rumuńsku. Niech się żaden wysoko ceniący swój język i rasę Włoch w tym miejscu nie obrazi. Doskonale idzie rozmowa. Bardzo pokrewne to języki, widać. Włosi dają nam objaśnienia, które żona tłumaczy. Dowiadują się oni, skąd jesteśmy, ale rozumują po przedwojennemu. Polska to musi być daleka północ. Jedni biorą nas za Rosjan, inni za Anglików. Zauważam teraz, że chłopci nasi są dzięki Bogu o wiele inteligentniejsi. Włocha nasz Bartłomiej czy Maciek za Boga nie weźmie za Hiszpana albo Serba. Takich głupich na wsi już nie ma.

Dnia 4 lipca kierujemy się na Wenecję. Zatrzymuje nas jednak w drodze teraz już włoski Meran<sup>17</sup>. Przy wjeździe do tego światowego zdrojowiska wita nas po raz pierwszy od kilku dni niewidziany deszcz i widocznie bardzo za nami zatęsknił, gdyż przemakamy do nitki. Dlatego ostyga w nas chwilowy zapal zatrzymania się ze dwie godziny w Meranie i po spożyciu drugiego śniadania wyruszamy ku włoskim dolinom. Wspaniała droga Meran–Padwa mija szybko, a towarzyszące nam dalej słońce i wiatr (jechaliśmy ponad 100 km/godz.), wysusza ubrania całkowicie.

Wjazd na ziemię włoską nie zrobił na nas szczególnego wrażenia, jak to powyżej opisuję, bowiem jeszcze nie są to owe właściwe Włochy i rozsloneczniona Italia, ojczyzna poetów, artystów i utalentowanych żebraków, *lazzaronów*. Mijane przez nas wioski nie stanowią nic szczególnego. Pachnie jeszcze oddechem mroźnych Alp i trochę za dużo brudem, którego dzielny Duce Mussolini niezupełnie przegnał na cztery wiatry. Spiesz się nam zatem do Wenecji, dlatego mijamy Padwę, od której prowadzi w kierunku Wenecji niespotykana dotąd, wygodna, na światową sławę zrobiona asfaltowa droga. Piększą ją z obu stron stare, rozłożyste drzewa z pobielanymi pniami, które zmieniają drogę w kolosalną aleję. Puszczam wodze swej fantazji i idę z wiatrem w zawody, mimo gorącego protestu towarzyszek. Wszystko mi jedno, czy mój harley pożre tyle kilometrów na godzinę, albowiem znajduję w sobie drugą naturę namiętnego nałogowca — motocyklisty. Mam chwilowo wrażenie, że harley nie sunie po ziemi, tylko płynie tuż nad nią, zerkam okiem na licznik i widzę, że przekracza przyzwoitą miarę 120 km na godz. z takim obciążeniem i takim bagażem, przede wszystkim żywym. Ale cóż robić? Chcemy być jeszcze dziś w Wenecji.

Nad brzegiem Adriatyku, w małej przystani portowej „Garage Fuzina” przed Wenecją, spotyka jednak nas zawód. Do Wenecji można się dostać — tylko statkiem. Kwitujemy<sup>18</sup> z dalszej drogi, motocykle zostawiamy w garażu pełnym samochodów z różnych stron świata, a samochodem wracamy do Mestry<sup>19</sup> na noc.

Miasta nie oglądamy, jemy kolację, idziemy spać. Nazajutrz (5 lipca), a jest to niedziela, koleją elektryczną dojeżdżamy do „Garage Fuzina” i stąd statkiem przepławiamy się do Wenecji. Wenecja nam imponuje nie przez to, że jesteśmy w niej po raz pierwszy. Tego jeszcze się nie widziało. Stare domy, na których znać patynę wieków, kanały, gondole, charakterystyczny gwar włoski. Wenecja jest tą bramą, przez którą wchodzimy do jednego z największych i żywych muzeów cywilizowanego świata. Tutaj postęp jest ładnie powiązany z przeszłością. Nowoczesne urządzenia i dawno minionia świetna przeszłość „Pani Adriatyku” cudownie powiązała fantazję i pracę włoską.

W starożytnych domach zupełnie nowożytnie dostosowane wystawy sklepowe, a w nich rozrzucone klejnoty pracy ręcznej włoskiej, jak wspaniałe weneckie szale, wyroby szklane, ceramika i artystycznie plecione damskie obuwie. We mnie poza tym wszystkim jeszcze jedna rzecz budzi podziw: brak tu zupełnie ruchu kołowego; z początku oko nie może się oswoić z widokiem ulic, na których nie widać tramwajów, koni, samochodów i motocykli. Miłsze skutkiem tego powietrze i bezpieczniej pieszo chodzić. Życzyłbym swoim

<sup>17</sup>Merano (niem. Meran) — miasto w pln. Włoszech, w prowincji Bozen-Tyrol Południowy, popularne uzdrowisko i ośrodek turystyczny; Tyrol Południowy, historyczna część Tyrolu położona na południe od głównej grani Alp, stanowił część Cesarstwa Austriackiego; w wyniku I wojny światowej Tyrol Południowy, a tym samym położony w nim Meran stał się częścią Włoch. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>kwitować z czegoś (daw., iron.) — wcale nie chcieć czegoś; tu: rezygnować. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Mestre — położona na stałym lądzie miejska część Wenecji; do 1926 samodzielne miasto. [przypis edytorski]



wrogom, aby założyli sobie w Wenecji przedstawicielstwo światowych marek samochodów lub motocykli, przynajmniej nie mieliby na pewno z czego żyć do końca życia. Tak mi się wbił w pamięć brak wszelkiego ruchu kołowego w Wenecji, że gdy kiedy usłyszę „bujanie” w towarzystwie np. na temat wyścigów cyklistów w Wenecji, słowo daję, że bez żenady będę strzelał prosto w m...

Po nakarmieniu gołębi na placu św. Marka<sup>20</sup> zwiedziłem kościół św. Marka w towarzystwie ppłk. Siczka; pań z powodu braku rękawów u sukien straż kościelna nie wpuściła. Osobiście nie wziąłem tego za złe, przydałoby się u nas tak praktykowane przestrzeganie zasad moralności. Mała to jest rzecz, a jednak zwraca uwagę, że za progami kościoła zaczyna się trochę odmienny od naszych pojęć świat. Kościół Boży jest dla modlitwy, a nie do przeglądu mód.

Wnętrze kościoła robi na mnie potężne wrażenie. Na myśl przychodzą czasy, w których żyli ludzie, którzy nie tylko siły ludzkie, ale i duszę w pracę wkładali, bo czymże nazwać ten ogrom misternych mozaik i labiryntu rzeźb w marmurach. Osobiście bardzo szanuję sztukę i powiem otwarcie po tym, co widziałem, pytam, czym jest nasza obecna sztuka i nasi obecnie żyjący ludzie sztuki wobec gigantów prac i polotu budujących kościół św. Marka? Jednak na nas czekają panie przed kościołem, a żołądek upomina się też o sztukę — ale mięsa.

Znajdujemy skromną restaurację z mało dobrym jedzeniem i trochę podłym piwem, przypominającym warszawskie sprzed lat paru. Za to ale cena dobrze „nadwarszawska”. Za przeszło 7 zł z restauracji warszawskiej wychodzi się jako tako zadowolonym i gdybym umiał kląć po włosku, wyraziłbym bezzwłocznie właścicielowi restauracji moje „podziękowanie”. Obiad ten nie zniechęcił nas do Wenecji, ale za to mamy dość dzisiejszych wenejcjan i tego samego dnia po południu ruszyliśmy do Florencji (250 km). Przed nami znowu góry. Harley pnie się ze szczytu na szczyt dzikich Apeninów. Na prawie połowie drogi zatrzymujemy się w miasteczku, którego nazwy nie notowałem, gdyż takie miasteczka i w Polsce nikomu nie zaimponują, kto wie nawet, czy u nas nie lepiej w drodze się człowiek prześpi i także samo sobie podje. My jednak mamy szczęście, trafiamy na nocleg do farmy obok miasteczka, na kolację częstują nas kołaczami<sup>21</sup>, jajecznicą, nabiałem i dobrym winem. Kiedy gospodarzom dostatecznie wytłumaczyliśmy, że nie jesteśmy Niemcami, tylko Polakami, na nocleg znalazły się i materace. Inaczej spalibyśmy na podłodze!

Na wyjeździe (dnia 6 lipca) po dobrym śniadaniu musieliśmy długo prosić gospodarzy, aby przyjęli choć jednego dolara za gościnę i nocleg.

Około piątej godziny rano ruszamy w drogę do Florencji. Trafiamy na roboty sezonowe przy drogach, skutkiem czego tempo traci na szybkości. Trzęsąc się trochę na motocyklu, wjeżdżamy około południa do Florencji. Wpadamy do miasta okurzeni i obłoceni, czyniąc wielkie wrażenie wśród gapiów. Ponieważ nasz piesek cierpi w drodze od pędu wiatru na oczy, nosi kolorowe okulary. Zapytują nas dlatego, czy nie jesteśmy przypadkiem członkami wędrownego cyrku. Widocznie całe Włochy przepadają za cyrkami. Na samej już granicy posądzano nas o to.

Florencja jest pierwszym naprawdę wielkim miastem włoskim, na które natrafiamy. Przed wszystkim odnaleźliśmy konsulát polski i honorowego konsula Rzplitej Polski, pana Paszkowskiego, właściciela zarazem dużego browaru. Zastajemy go w kantorze przedsiębiorstwa i po przedstawieniu się znajdujemy staropolską gościnność, wyrażoną w ofiarowaniu nam bezpłatnej kwatery wraz z utrzymaniem. Pan konsul żywo interesuje się krajem, nie znać w rozmowie z nim trzydziestoletniej rozłąki z Polską, tak świetnie włada ojczystym językiem, mimo że za młodu opuścił kraj, chroniąc się przed prześladowaniem, i mimo tego, że dobrych lat parę życia zostawił w Ameryce. Konsul podziwia nasze harleye i wprost wierzyć nie chce, żeśmy 27 czerwca wyjechali z Warszawy. W nagrodę za wytrzymałość nasze maszyny zostają z polecenia konsula przez jego personel wymyte, oczyszczone i napełnione oliwą i benzyną. Dostajemy do naszej dyspozycji

<sup>20</sup>plac św. Marka — najbardziej znane miejsce Wenecji, otoczone cennymi zabytkami architektury, m.in.: znajdującą się przy nim bazyliką św. Marka i będącą symbolem miasta dzwonnica św. Marka. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>kołacz — rodzaj pszennego pieczywa (chleba lub ciasta) w kształcie koła (stąd nazwa). [przypis edytorski]

piękne auto, aby zwiedzić Florencję. Oglądamy grób Dantego<sup>22</sup> w katedrze, zwiedzamy całe miasto, tak starożytną jego część, jak i nowoczesne przemysłowe budowle.

Nie mamy dużo czasu na przebywanie we Florencji, wiemy dobrze, że tylko parę godzin jazdy dzieli nas od Rzymu. Florencja jest bardzo miła i czysta. Pan konsul widocznie raduje się z naszego u niego pobytu, ale jak to mówią, komu w drogę, temu czas. Przed odjazdem próbujemy formalnie wszystkie wyroby jego florenckiego browaru, bo nie tylko fabrykacją piwa i służbą konsularną zajmuje się nasz rodak; browar jego słynie z wielu napojów chłodzących, którym jak dotąd konkurencja szkodzić nie może. Tęgoż samego dnia około godziny piątej pod wieczór, pożegnani osobiście przez konsula, ruszamy na Rzym.

Właściwie stąd nie jest daleko do Rzymu (303 km). Jedziemy wolno i zauważamy, że to już jest blisko Południe, mijamy bowiem wioski z pomarańczowymi gajami. Krajobraz identyczny z widzianymi kiedyś malowidłami Włoch. Dużo zieleni, na jej tle porozrzucane na pagórkach i zboczach, charakterystyczne siwe, kamienne domki włoskie. Im dalej Florencji, droga coraz pnie się w górę.

Ciężka jest jazda przez Apeniny, z góry na pagórek i znowu na górę, aby wpaść nagle w dziki wąwóz. Nie jest się pewnym, czy kręta droga nagle nie utnie się na zboczu góry, aby stamtąd opaść dość ostro na wylaniającą się nagle dolinę. Apeniny są naprawdę dzikie. Skąpe w zielen, wypalone dobrze wspaniałym włoskim słońcem. Przypominają mi się tutaj zasłyszane echa różnych zdań o charakterze włoskim. To słońce może wyssać z człowieka chęć do pracy. Będzie jeszcze z pół godziny do zachodu, ale słońce grzeje zupełnie dobrze. Ze względu na opustoszały charakter okolic, dość dające się we znaki zmęczenie, szukamy pośpiesznie noclegu i choć się już dobrze zmierzchno, ani rusz go znaleźć. Zadowolamy się zatem oryginalnym spoczynkiem w stogu siana, za zezwoleniem służby napotkanego dworu, W porównaniu do naszych dworów i dworków polskich ten spotkany w drodze wielki dwór włoski wydaje się nam raczej siedzibą wyzyskiwacza-dzierżawcy. Ani mieszkania, ani porządnej obsługi! Nic dziwnego, że właściciel, jak nas informują, często wyjeżdża do miasta, i też nic dziwnego, że mamy większe zaufanie do stogu niż do dworu, aby się jako tako przespać i ruszyć do Rzymu. Mamy dość tej okolicy. Na tej włoskiej głuchej wsi kolację zjedliśmy z dziesięciu surowych jaj i dwóch litrów czerwonego wina. Pewnie za Rzymian tak nie bywało.

7 lipca wstajemy rankiem bardzo wczesnym, bo o godz. drugiej, i zaraz startujemy. Z zadowoleniem spostrzegamy coraz lepszą drogę, tylko okolice niezachwycające. To już jest Kampania Rzymska<sup>23</sup>. Pagórkowato tu, a poza tym pusto, oko wędruje po łbach nagich pagórków. Zaczynamy na dobre odczuwać słońce, już po godz. ósmej grzeje sobie wcale nieźle, dlatego jazda wlecze się leniwie.

O godz. dziewiątej zatrzymujemy się w małej mieścinie, aby spożyć śniadanie, gdyż w drogę z niegościnnego dworu ruszyliśmy na czczo. Śniadanie w napotkanej wiosce trwa dość długo, gapiów koło nas sporo, w tym przeważają dzieci brudne, bose i żebrzące: „*Signore, uno lira*”<sup>24</sup>. Te błagalne głosy niekoniecznie świadczą o dumnym zwycięskim pochodzie faszystów, który koniecznie chce zaimponować światu. Jeżeli brać ilość faszystów we włoskim tłumie gapiów po kolorze, to ich jest sporo, trudno bowiem na oko odróżnić czarną koszulę od brudnej. Może stąd wywodzi się zamilowanie do czarnych (zwycięskich) koszul<sup>25</sup>.

Napełniam baki mieszanką spirytusową, aby się udać w dalszą podróż. Mijamy drobne osiedla ludzkie. Koło godziny drugiej z nagłą z zakrętu drogi zasłoniętej większym pagórkami wyłonił się Rzym. Wjeżdżamy w przedmieścia i z początku opanowuje nas rozczarowanie, czy to są rzeczywiście przedmieścia Rzymu — tak dość zaniedbane, odra-

Góry

Jedzenie, Wino

Żebrak, Brud

<sup>22</sup>Alighieri, Dante (1265–1321) — poeta włoski, autor *Boskiej Komedii*, poematu opisującego podróż w zaświaty: poprzez kolejne kręgi piekła, czyścić do nieba. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Kampania Rzymska (wl. *Campagna Romana*) — nizinny obszar w środkowych Włoszech, wokół Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Signore, uno lira* (wl.) — Panie, jednego lira (lir to dawna włoska moneta). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Czarne Koszule (pot.) — nazwa bojówek faszystowskich, które w 1922 wzięły udział w tzw. Marszu na Rzym, faszystowskim zamachu stanu, w wyniku którego władzę we Włoszech zdobył Benito Mussolini; w 1923 Mussolini utworzył z nich paramilitarną organizację o charakterze milicji pod oficjalną nazwą *Milizia Volontaria per la Sicurezza Nazionale* (Ochotnicza Milicja Bezpieczeństwa Narodowego), od 1924 będącą częścią sił zbrojnych. [przypis edytorski]

pane i prawie bliźniaczo podobne do przedmieść Warszawy. Przepraszam za szczerość! Im bliżej centrum, powoli wyłania się sławna ROMA.

Na drogę z Florencji dostaliśmy od konsula Paszkowskiego list polecający do dyrektora jego drugiego browaru w Rzymie. Wypytyując się o drogę, natknęliśmy na ochotnika chłopca (do posyłek w magazynie), który za dwa liry<sup>26</sup> wskazał nam osobiście (dołączając się do naszej ekipy, uczepiwszy się z tyłu wózka z pudłem krawieckim na plecach) — drogę do browaru, choć było do niego spory kawał drogi, po drugiej stronie miasta.

Chcemy się odświeżyć i wypocząć, dlatego ucieka ochota natychmiastowego zwiedzenia Rzymu. List konsula Paszkowskiego do dyrektora Grossmana, czeskiego Niemca, przydał się nam. Dostajemy do dyspozycji dwa pokoje z łazienką i obsługą. Służba, jak widać od razu, jest międzynarodowa, opiekujący się nami jest Kroatem<sup>27</sup>. Baczy on pilnie (honor browaru tego wymaga), aby piwo w pokojach nie ulatniało się z upału. Co wypróżnimy flaszki napełnione wiadro obłożone lodem, zjawia się nowa porcja 20 flaszek. Jak długo żyjemy, nigdyśmy tyle piwa w tak krótkim czasie nie wypili. Pan konsul Paszkowski gościom swoim wyrobów nie żałuje, wychodząc ze słusznej polskiej racji „czym chata bogata, tym rada”. Popod wieczór wybraliśmy się do centrum miasta. Robi ono na nas przemiłe wrażenie, samo uczucie, że się jest po raz pierwszy w świętym miejscu, potęguje je. Dużo w Rzymie starych kościołów, klasztorów i wielkich nowoczesnych i starożytnych gmachów i pomników. Zapytywani przez nas policjanci są bardzo uprzejmi, no i bardzo elegancko wyglądają. Od stóp do głów ubrani białe i wyjątkowo czyste, znać, że są starannie do tej służby wybierani. Jest to swego rodzaju elita włoskiej policji. Naprawdę cudzoziemcom imponują nie tylko wyglądem, ale miłą, niewyszukaną grzecznością.

Mając polecenie od ks. biskupa Galla<sup>28</sup>, udajemy się do Watykanu, aby uzyskać na dzień następny kartę wstępu na audiencję do Ojca Św. Bardzo zmęczeni w tym dniu tak jazdą, jak i gorącem, poślimy<sup>29</sup> wcześniej spać, aby dobrze wypocząć.

Zaczynamy Rzym poznawać od papieża<sup>30</sup>. Na godzinę dwunastą mamy wyznaczoną audiencję, a na prawie godzinę przed ceremonią panie ze smutkiem dowiadują się, że ich suknie, aczkolwiek czarne, nie odpowiadają ogólnie przyjętym w Watykanie warunkom ceremonii. Watykan nie uznaje sukien z krótkimi rękawami i dekoltami, ale kobieta wybrnie z każdej sytuacji i nabożni Włosi, znając tę zasadniczą cechę niewiast, założyli tuż obok Watykanu licznie dobrze prosperujące sklepy wypożyczające suknie na czas audiencji. Audiencja u Ojca Św. robi kolosalne wrażenie. Poprzedza ją zwykle imponujący ceremonial, blasku zaś dodaje sala obita purpurowym, drogim adamaszkiem i wspaniałe stroje służb. Najstrojniejsza jest przyboczna gwardia papieska na czele z jej oficerami. Wejście Ojca Św. poprzedza wielka cisza, tak wszyscy są przejęci oczekiwaniem Następcy Św. Piotra. Na dany znak mistrza ceremonii obecni na sali pokłękali, drzwi się otwierają i na salę wchodzi poprzedzony przez wyższego oficera gwardii i kardynała Ojciec Św., tuż za nim świta z trzech wysokich dygnitarzy duchownych. Po krótkiej modlitwie (klęcząc), Ojciec Św. obchodzi salę i przystępując z osobna do każdego, błogosławi go, dając jednocześnie Pierścień Rybaka<sup>31</sup> do całowania. Tu i ówdzie zamienia parę słów, przeważnie z duchownymi. W czasie audiencji byliśmy świadkami wzruszającej sceny błogosławienia śpiącego na rękach matki dziecka. Ojciec Św. dłuższą chwilę zatrzymał się, aby się pomodlić i pobłogosławić — osobno — dziecko. Matka ze wzruszenia i radości rozplakała się. Gdy Ojciec Św. zbliżył się do nas, powitaliśmy Go zgodnym chórem: „Niech będzie

<sup>26</sup>lir — dawna waluta włoska. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Kroat (daw.) — Chorwat. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Gall, Stanisław, właśc. Stanisław Tomasz Gał (1865–1942) — polski duchowny rzymskokatolicki, generał dywizji Wojska Polskiego, biskup polowy Wojska Polskiego w latach 1919–1933. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>poślimy — dziś popr.: poszliśmy. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>papież — Pius XI (1857–1939): nuncjusz apostolski w Polsce w latach 1919–1921, papież od 1922, od 1929 władca państwa Watykan, utworzonego na podst. traktatów laterańskich, zawartych z rządem Mussoliniego. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Pierścień Rybaka — jeden z symboli władzy papieskiej: sygnet z wizerunkiem św. Piotra zarzucającego sieć; zgodnie z tradycją katolicy spotykający się z papieżem okazują swoje oddanie, całując pierścień. [przypis edytorski]

pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiedział na to z całą powagą majestatu, czysto po polsku: „Na wieki wieków”. Wrażenie tej audiencji pozostanie nam na zawsze.

Mamy prawo (gdyż Ojciec Św. na krótko przed obraniem Go spędził lata w Polsce, która z powstaniem wojny gruntowała fundamenta dla swojej przyszłości) uważać Ojca Św. za naszego „polskiego papieża”.

Nie tylko Jego spokojny majestatyczny wygląd, świątobliwa powaga w mowie i ruchach, ale pamięć, że w dniach, zdawałoby, załamania się młodego państwa nie opuścił Serca Polski, Warszawy, i spokojnie wytrwał na posterunku w obliczu hord bolszewickich. Ta niewzruszona wiara w przyszłość naszą specjalnie cenną nam była i dlatego ponad ceremoniał audiencji i jej miejsce wynosimy skromną, ale pełną majestatu postać Namiestnika Chrystusa na ziemi.

Naturalnie z Watykanu wchodzimy zaraz do kościoła św. Piotra<sup>32</sup>. Tu doprawdy nie wiadomo, co podziwiać: czy ogrom tej budowli, czy mistrzowskie obrazy Michała Anioła<sup>33</sup>? W rzeźbach i sztuce zdobniczej, w architekturze zebrały się tu najtęższe talenty świata, aby kościół św. Piotra, katedrę stolicy świata Chrystusowego godnie i sławnie upiększyć. Tu się widzi, jak nauka skromnego Nazarejczyka wzrosła z trudnych początków w niewzruszalną potęgę. Na katedrze św. Piotra znać zwycięstwo Boskiej Idei. Ten wspaniały przybytek Boży jest zarazem centrum międzynarodowym Idei zakutej w kult prawieczny. Tutaj każda narodowość może w ojczystym języku zmyć w skrusze swoje grzechy. Konfesjonały mają napisy prawie we wszystkich językach świata i my mamy swój konfesjonał z napisem: „Tu spowiada się po polsku”.

Z Watykanu idziemy oglądać starożytny Rzym. Aby go dobrze poznać, trzeba zostać tygodniami, przecież pogrzebano tu historię kilku dziesiątek wieków. Przypatrujemy się pobieżnie masywowi Colosseum<sup>34</sup>, szczątkom term Karakalli<sup>35</sup>, jesteśmy na Via Appia<sup>36</sup>, ze Wzgórza Palatyńskiego<sup>37</sup> zachwycamy się widokiem Rzymu. Mamy czas oglądać szczątki wodociągów rzymskich i tego samego dnia przypatrzeć się łukom tryumfalnym Septymiusza Sewera, Tytusa i Konstantyna. O zachodzie słońca żołądek upomina się przecież o swoje prawa. Kolację jemy po włosku. Spożyliśmy makaron z parmezanem i czym prędzej poślimy spać.

Zaznaczyć wypada, że przenosząc się z miejsca na miejsce w Rzymie, mieliśmy sposobność oglądać i place targowe nierzadko sięgające tuż pod chodnik. Nasze jarmarki, nawet najbardziej huczne, są słabym obrazem ruchu i gwaru wobec tego, co się dzieje na targach rzymskich. Całe stopy pomarańcz, cytryn, fig, brzoskwiń, pomidorów itp. i dziwne, że w tym wszystkim nasze dobre znajome ziemniaki sprzedawane są na sztuki, jak swego rodzaju zbytek; również rzadkością ginącą w oceanie owoców i jarzyn jest mięso, bardzo drogie i masom biednej ludności prawie niedostępne. Aby dać możliwość określenia, czym jest gwar nawoływania przekupniów, streścimy się krótko i po warszawsku: Nalewki<sup>38</sup> są wobec tego szczeniakiem! Jest to zgodny, potężny chór wydzierających się gardzieli! Coś w rodzaju czytane koncertu wyjców w puszczech.

Następnego dnia, 10 lipca o godz. czwartej z rana posłuszny i niestrudzony mój „żelazny rumak” po dwudniowym wypoczynku wyruszył ku Neapolowi (239 km). W drodze dosyć ciężkiej gotujemy na powietrzu kawę, a na obiad wybraliśmy sobie wspaniałe zbcze

Handel

Jedzenie, Natura

<sup>32</sup>Bazylika Świątego Piotra na Watykanie — rzymskokatolicka bazylika na Wzgórzu Watykańskim w Rzymie, czołowe dzieło architektury renesansu i baroku. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Ludovico Buonarotti Simoni* (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu; znany z serii fresków biblijnych na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej (papiejskiej kaplicy w Pałacu Watykańskim) oraz namalowanego na ścianie ołtarzowej tej kaplicy fresku *Sąd Ostateczny*. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Koloseum (łac. *Colosseum*) — wielki amfiteatr w Rzymie, wzniesiony w I w. n.e. przez cesarzy z dynastii Flawiuszów, największy z amfiteatrów Imperium Rzymskiego. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>termy Karakalli — najlepiej zachowane, wielkie rzymskie łaźnie publiczne, oddane do użytku za panowania cesarza Karakalli (188–217). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Via Appia — najstarsza bita droga rzymska, zaczynająca się w Rzymie przy Forum Romanum, biegnąca na południe do Kapui, następnie aż do Brundisium; stanowiła jednocześnie aleję cmentarną Rzymu: wzdłuż niej wznosiły się pomniki grobowe i grobowce najważniejszych rodów rzymskich. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Wzgórze Palatyńskie a. Palatyn — jedno z siedmiu wzgórz Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Nalewki — dawna ulica w dzielnicy Śródmieście w Warszawie, jedna z najważniejszych ulic handlowych miasta i jedna z głównych ulic dzielnicy żydowskiej, ruchliwy trakt komunikacyjny; zniszczona całkowicie w czasie powstania w getcie w 1943. [przypis edytorski]

góry tuż przy strumyku, w cieniu rozłożystych pni. Na powietrzu pod upojnym włoskim niebem obiad „spitraszony” na małym prymusie<sup>39</sup> smakuje lepiej niż w pierwszorzędnej wielkowiejskiej restauracji; trochę mięsa (z konserw), dla okraszenia makaron i czerwone dobre, tanie wino — stanowią prawdziwą luksusową ucztę. Nie tylko my czujemy się szczęśliwi, nasza suczka też wyczuwa błogość wagarowania pod włoskim niebem, gdy ma niecodzienny apetyt i niezwykle humor. Zadowoleni i weseli, ruszyliśmy po obiednim wypoczynku w drogę.

Drogi na ogół zła, pełne wyboi i kurzu, ciągnące się przez góry mniej już dzikie. Około godziny trzeciej po południu znajdujemy się już w Neapolu i na gwałt szukamy noclegu z garażem. Po zainstalowaniu się i odświeżeniu oglądamy w zachodzącym słońcu śliczną panoramę zatoki z gorejącym nad nią pióropuszem niespokojnego Wezuwiusza. Przypominamy wszyscy, że poeci dziewiętnastego wieku nie mylili się. Neapol, lazuruwe niebo, dymiący Wezuwiusz, brzegi zrobione mozaiką wiosek rybackich — to perła widoków Italii, o których można marzyć. Przypominają się gwałtownie uczone w młodości na pamięć wiersze polskie: „Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa”<sup>40</sup>. Jeszcze parę chwil po zachodzie przyglądamy się zatoce.

Sam Neapol jest czysty, miły i robi wrażenie spokojnej przystani. Charakterystyczne jest, co od razu wpada w oczy, zamykanie w dzień okiennic od strony południa przed zbyt zapraszającym się do wnętrza słońcem. W Neapolu już wszystko pachnie blisko południowym wschodem. Słońce jest dobre, byle nie za dużo. O ile widoki Italii nam imponują, kuchnia nas przeraża, wiecznie salami, sery, makaron, oliwa i gdyby nie dobre a tanie wino, to wspomnienie o Włochach pod względem gastronomicznym byłoby źle pamiętane aż do końca życia. Włosi nas mogą bić pod różnymi względami, ale po ludzku jeść mogliby się od nas uczyć.

Wczesnym rankiem 11 lipca jedziemy w kierunku Cosency (307 km), gdzie po drodze będziemy mieli Pompeję<sup>41</sup>. Droga za miastem, a tuż nad morzem, wyłożona płytami kamiennymi. Nasze pocziwe kocie łby<sup>42</sup> podwarszawskie są jeszcze rajem wobec tej drogi, wystarczy chyba zaznaczyć, że jechaliśmy z szybkością 5 km na godzinę, mijając setki wózków ręcznych i zaprzężonych w osły lub muły, śpieszących na targ do Neapolu. Koło godz. ósmej wjeżdżamy do Pompei, a że wpuszczają na teren wykopalisk dopiero o godz. dziewiątej, czas wolny zużyliśmy na śniadanie w schludnej cukierni na świeżym powietrzu. Zjada nas wprost ciekawość zobaczenia miasteczka odkopanego, a przed osiemnastu wiekami zalanego w pełni życia przez wściekły wybuch, tuż obok w sąsiedztwie — Wezuwiusza. Po śniadaniu ruszamy na zwiedzanie Pompei, towarzyszy nam dobrowolnie na przewodnika znajdujący się po służbie, młody, sympatyczny policjant p. Veglia Giuseppe.

Wykopaliska ogromem katastrofy przygnębiają. W wąskich uliczkach wyłożonych płytami kamiennymi, w ruinach domów wyglądających jak wielkie pogorzeliśko tuła się dziwna tęsknota i rozpacz za utraconym z nagła życiem. Jednak z tym wszystkim wykopaliska Pompei są cennym skarbem przeszłości, gdyż opowiadają zwiedzającym o świetnym okresie cywilizacji rzymskiej, kto wie czy nie naszą przewyższającej. W muzeum pompejańskim szczególnie to widzimy.

Oglądając rzeźby, wazy, przedmioty codziennego użytku, urządzenia ówczesnej techniki, możemy stwierdzić, że starożytni mieli lepszy smak od nas, a w urządzaniu sobie życia prawie na równi z nami stali. Wszystko to już było! — jak powiedział Ben Akiba<sup>43</sup>. Tylko Wezuwiusz, jakby groźba wiecznego niebezpieczeństwa, dalej czyha na ofiary.

Jedzenie

<sup>39</sup>prymus — naftowa maszynka do gotowania. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa — początek wiersza Mickiewicza *Wezwanie do Neapolu*, będącego przekładem utworu Goethego *Kennst du das Land, wo die Zitronen blühen*. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Pompeja (daw.) — dziś popr.: Pompeje, miasto rzymskie zasypane pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 n.e., szerzej znane dzięki wykopaliskom prowadzonym systematycznie od 1869. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>kocie łby (pot.) — bruk z kamieni polnych, otoczków. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Ben Akiba, właśc. *Akiba ben Josef* (ok. 50–135) — żydowski rabin, tanaita; zaangażowany w ostateczne ustalenie kanonu Biblii hebrajskiej oraz zebranie przekazów ustnych dotyczących żydowskiego prawa religijnego; przypisywane mu często powiedzenie: „Wszystko to już było” wypowiada postać sceniczna Ben Akiby w dramacie Karla Gutzkowa *Uriel Acosta* (jest ono parafrazą wersetu z biblijnej *Księgi Koboleta*: Koh 1, 9). [przypis edytorski]

Przygnębiający nastrój ulatnia się przy dobrym, ale drogim piwie, do czego zaprosiliśmy naszego miłego przewodnika, gdyż pieniędzy przyjąć absolutnie nie chciał. Po pożegnaniu się z Pompeją w wesołych humorach jedziemy dalej. Droga wiedzie górami, kiepska i zakurzona białym wapiennym pyłem, wobec którego pył na naszych szosach jest jakby pudrem, tamtejszy pył trzeba bowiem zmiatać szczotką. Za nami chmury obłoków. Żyjemy jakby w atmosferze lotnych piasków, pełno ich na ubraniu i ustach, a upał daje przedsmak niedalekiej Afryki.

Noc zastaje nas na szczycie gór, zmuszeni byliśmy zanocewać w barakach urzędowych (tak zwanych „cassa cantoniera” — dla robotników drogowych). Przyjęcie w gronie robotników i ich serdeczność dla nas zrobiły dobre wrażenie, a ponieważ nic w okolicy nie można kupić, podzielili się z nami skromną kolacją, składającą się z makaronu i ryżu, i odstąpili nam jedną izbę, oddając nam nawet swoją pościel.

Na twardych łóżach niekoniecznie dobrze przeszła noc, toteż wczesnym rankiem 12 lipca ruszyliśmy drogą na Reggio Calabri (227 km). Drogi bodajże najgorsze jak dotąd, wyboje, okropne — nierówne góry, stale serpentyny i ciągła jazda nad przepaściami. Spotyka się na ostrych wirażach pojedyncze lub kilka krzyży razem jako pamiątki po ofiarach nie dość ostrożnej jazdy. W tych okolicach harley już po raz wtóry zdaje egzamin ze swej wyjątkowo mocnej konstrukcji. Wstrzemięźliwie umie się piąć w górę i zjeżdżać powoli, a z ostrożną, jakby w polonezie nad przepaścią zagłady. Poruszamy się wskutek tego bardzo powoli i zmuszeni jesteśmy przed Reggio Calabri zatrzymać się po naprawę szesnastogodzinnej jeździe, bardzo zmęczeni, w miasteczku Palmi. Cena w oberży jest dla nas nie do przyjęcia, wobec tego zwracamy się do komendanta miejscowej policji, który chętnie lokuje nas i nasze motocykle. Spaliśmy prawie do południa i znowu po złej drodze, z małą przerwą użytą na kąpiel w morzu, przybywamy do Reggio Calabri<sup>44</sup> 13 lipca.

W drodze, mijając małe miasteczko San Giovanni<sup>45</sup>, zaciekawia nas<sup>46</sup> głośny strzał z moździerza i koncert dzwonów wszystkich kościołów i szkół na znak godziny dwunastej, tj. na Anioł Pański<sup>47</sup>. Przybywszy do Reggio, stwierdzamy, że przedostanie się na Sycylię wymaga niestety powrotu naszego do San Giovanni (około 14 km), skąd statkiem odpływa się do Messyny. Zabarkowanie nie napotyka na trudności i wprost wjeżdżamy po pomoście na statek. O pół godziny później znajdujemy się już w cieśninie morskiej. Po niespełna 45 minutach dobijamy do portu Mesyna.

W mieście zakupujemy parę drobiazgów i wzdłuż przez miasto zdążamy do Palermo (273 km). W przejeździe robi na nas Mesyna miłsze wrażenie od innych miast włoskich. Szerokie, nowoczesne ulice, czyste, z wieloma imponującymi gmachami i w dodatku dosyć ruchliwe, wstępując zaś tu i ówdzie po zapomniane części projektowanych zakupów, znajdujemy<sup>48</sup> mieszkańców bardziej serdecznych w obejściu niż w Italii. Zauważamy również, że dzieląca Sycylię od Włoch cieśnina kładzie także kres natrętnemu żebractwu, co w całej Italii prawie na każdym miejscu się spotyka. Zdziwia nas również brak śladów po często powtarzających się trzęsieniach ziemi. Chociaż szybko w katastrofie padają domy, jednak pracowitość sycylijska stawia je na nowo.

Po wyjeździe za miasto droga równa, ale i kurzliwa, pnie się po górach.

Sycylia jest górzysta, ale jej góry wieńczą piękne sady cytrynowe, pomarańczowe i ze szczytów gór panorama przedstawia się jako jeden wielki owocowy ogród. Wioski rzadkie, stawiane tylko z kamienia, przeważnie nieotynkowane, znajdujemy jakby przytuliska wiejskiej biedoty. Wieczór zmusza nas do szukania schronienia, po raz drugi w naszej podróży, w barakach rządowych dla robotników drogowych. Nie jest to zbyt miła kwatery, ale zapadająca noc nas do tego zmusza. Trochę zmęczeni drogą, zamiast zimnej pokrzepiającej wody musimy się zadowolić letnią, wprost ze strumyka, takie są tutaj skutki grza-

<sup>44</sup>Reggio di Calabria (pot. *Reggio Calabria*) — miasto w pld. Włoszech, nad Cieśniną Mesyńską, stolica prowincji. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>San Giovanni, właśc. *Villa San Giovanni* — miejscowość w pld. Włoszech, nad Cieśniną Mesyńską, w prowincji Reggio Calabria. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>W drodze, mijając małe miasteczko San Giovanni, zaciekawia nas głośny strzał — dziś popr.: W drodze, kiedy mijamy małe miasteczko San Giovanni, zaciekawia nas głośny strzał. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Anioł Pański — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i wieczorem, o której dawniej przypominano wiernym, bijąc w dzwony kościelne. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>znajdować (daw.) — przekonywać się o czymś; oceniać; odnosić wrażenie. [przypis edytorski]

nia słońca. I ze spoczynkiem jest gorzej, zamiast sienników lub materacy mamy paproć o grubych łądygach, co sprawia nieprzyzwyczajonemu ciału coś w rodzaju piekielnych mąk. Zmęczenie jednak robi swoje i spaliśmy aż do wschodu słońca.

14 lipca w drodze do Palermo obserwujemy prawie zupełny brak koni na drogach, za to osłów cały bezmiar, a tu i ówdzie jako zbytek trafia się muł. Dziwi nas mocno wytrzymałość małych osiołków, dźwigających dragali, swoich panów, siedzących na nich okrakiem, na samym zadzie zwierzęcia. Bardzo interesujący jest widok osła obwieszono- go koszykami, z których wyglądają głowy siedzących w koszach dzieci, nierzadko po kilkoro na raz. Taki orszak prowadzi ojciec, ciągnąc zwierzę za uzdę, matka zaś z tyłu popędza poczciwego osiołka. Słońce grzeje już szalenie. Panie korzystają z tego i w półnagliżu, siedząc w przyczepce lub na tylnym siodelku motocykla, opalają się z zadowoleniem. Choć dobrotliwe słońce praży, jednak działanie jego paraliżuje w dużej mierze wiaterek wywołwany pędem harleya.

Palermo widać z daleka drogi tuż nad morzem i prawie z każdej góry, ale nim się do niego dojedzie, mija przeszło pół dnia. Droga ciągnie się w większej części tuż nad samym morzem, tak że jadąc, ma się z jednego boku skały, a z drugiego piękną lazuruwą tafłę wody, toteż korzystamy z tej okazji i bierzemy kąpiel u brzegu morza. Ruch automobilo- wy dosyć żywy; można to tłumaczyć właściwościami samej drogi, mającej swego rodzaju urok, urozmaiconej w dodatku tunelami i grotami. Do Palermo wpadamy dosyć późno, bo o godz. dziewiątej wieczór, i zaraz znajdujemy hotel z garażem w centrum miasta. Nie mając zaufania do włoskiej kuchni, urządzamy sobie kolację sami.

Już bardzo wcześnie rano budzi nas katarynka, u nas w Polsce niespotykana. Jest ona objętości sporej szafy, ciągniętej na kółkach przez dwóch ludzi, zaś tony jej w stosunku do rozmiaru są takie, że u nas w Warszawie mogłyby budzić umarłych z grobu. Ledwo skończył się koncert pierwszej, zajeżdża podobna druga i tak trwa z przerwą południową do wieczora. Musimy się z tym pogodzić, tym bardziej że stan dróg bardziej na południe zmusza nas do wyjazdu statkiem z Palermo, na który musimy czekać trzy dni.

Dobrze to nawet się stało, mam ostatecznie raz czas na gruntowny — po raz pierwszy w czasie naszej drogi z Warszawy — przegląd mojego harleya. Zatem następnego dnia oczyszczam go ze skorupy kurzu, gruntownie wymyvam, aby stwierdzić ewentualną po- trzebę reperacji.

Ustalam z przyjemnością, że „koń” mój nie wymaga najmniejszej reperacji, jedy- nie naciągnięcia tylnego łańcucha, już po raz drugi w czasie mojej dotychczasowej jazdy, i nieco dociągnięcia łańcucha przedniego — tak że znowu jest gotów do dalszej uciążliwej wędrówki.

W tym samym dniu wieczorem spotyka nas niespodzianka, bo wierna, a przy tym zmęczona podróżą psina obdarza nas czworgiem miłego potomstwa. Lubię bardzo zwie- rzęta i dlatego nocą wybieram się na poszukiwanie mleka po cukierniach, którym po- krzepia się nasza Sojka, dotąd żyjąca prawie mięsem.

Czekamy na statek, nudząc się, gdyż miasto niezbyt ciekawe, o wąskich ulicach, za dusznych, i dosyć gwarne. Czasami ma się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy miasta han- dlują na ulicach, taki rozlega się harmider. Gorąco okropne, okna mieszkań pozasłaniane storami lub okiennicami, urzędy w godzinach od jedenastej do pół do czwartej pozamy- kane.

Tak jak o nowoczesnej Rosji czyta się dużo i ciekawi się prawie każdy, czy rzeczywiście na tym ogromnym obszarze zaszły ciekawe przemiany, tak również Polaka interesuje coś wręcz przeciwnego bolszewizmowi, czym jest bezsprzecznie faszizm. Nie znałem Włoch przedtem, ale jeśli chodzi o ocenę, widzi się w nich to, o czym się słyszało lat temu przeszło dwadzieścia.

Nie byłem absolutnie krępowany w oglądaniu Włoch. Z motocykla widzi się stokroć więcej aniżeli z okien pociągu. Chcę się zatrzymać nawet dzień, dwa, trzy i więcej; mogę, bo jestem absolutnym panem swojej maszyny. Spotygam ludzi, widzę przejawy życia, światopogląd mój nie jest ograniczony linią drogi żelaznej ani czasem rozkładu pociąg- gów — nieograniczona możliwość poznania kraju, przez który przejeżdżam. Informacje zbieram nie od podróżnych, zajętych przeważnie interesami, w sprawie których wyruszyli w drogę, ale, jak się wyrażę, łapię ludzi na golącym uczynku spędzania codziennych zajęć.

Mogę śmiało oświadczyć i dać naukę rodakom. Włochy niczego mnie nie nauczyły.

Zwierzę

Maszyna

Pies

W porównaniu z Ojczyzną, wyjąwszy pamiątki przeszłości, wyglądają blade. Postęp mało widoczny, jeśli chodzi o rzeczywistość, o teraźniejszość. Nowoczesne budowle i u nas się spotyka, wygląd zaś zewnętrzny zakładów przemysłowych nie stanowi jeszcze o dobroci wykonanych przez nich wyrobów (towarów). Drogi o wiele lepsze niż u nas, ale trudno przyznać, aby mogło być inaczej. Na taki ruch turystyczny jak u nich i my byśmy mieli kto wie czy nie lepsze drogi. Poza tym dużo reklamy! Weźmy na przykład choćby policję w Rzymie i na prowincji. Może rzymski policjant imponuje, ale prowincjonalny zupełnie przeciwnie wygląda. Faszyzm tak jak bolszewizm wyśmienicie dekoruje objawy życia, ale go nie przeobraża. Takiej masy żebrzących nie ma cała Europa, mimo całego balastu ustaw przeciwdziałających temu.

W rozmowach postronnych nie wyczuwa się uwielbienia dla Mussoliniego. Bardzo często słyszy się słowa krytyki lub wprost przekleństwa dla jego rządów. Czy słusznie? Tak! We Włoszech panuje bieda, o której się nie pisze i nie mówi, ale którą się widzi, jeśli się chce ją zobaczyć. Nie trzeba jej szukać, widoczna jest wszędzie, a w połączeniu z natrętnym żebractwem odstrasza od Włoch i każe się namyślać dobrze, czy wódz Włoch nie prowadzi czasami kraju w przeciwnym do wygłaszanych haseł kierunku.

Czwartego dnia, 17 lipca, nareszcie około godz. dziesiątej przed południem odjeżdżamy statkiem do Tunisu (Afryki) bez formalności paszportowych na lądzie, wszystko to bowiem załatwiają podczas podróży na okręcie. W drodze koło godz. trzeciej po południu zawadzamy o miasto Trapani (jeszcze na Sycylii) i naturalnie wyruszamy na zwiedzenie miasta.

Nie ma jednak co oglądać, gdyż o tej porze słońce tak jeszcze przygrzewa, że przyzwyczajonym do tej przyjemności tubylcom odbiera ochotę nie tylko do spacerów, ale nawet do pracy. Wąskie ulice, okna zabite okiennicami, bardzo słaby ruch robią na nas wrażenie, że chodzimy po zamierającym mieście. Jedynie spotykane tu i ówdzie dość schludne kawiarenki z wysuniętymi na chodnik werandami tętnią jakim takim życiem, pokrzepiających się wszelkimi napojami chłodzącymi nielicznych mieszkańców i przyjezdnych razem. Na pożegnanie fotografujemy stojący prawie nad samym brzegiem morza średnich wymiarów pomnik Garibaldiego<sup>49</sup>. Z zachodzącym słońcem statek rusza w dalszą drogę.

Do północy podróż na małym statku idzie jako tako, wchodzimy jednak powoli w strefę dość ostrego sztormu, który powoduje widoczny na twarzach pasażerów lęk, a w kajutach i na pokładzie znane oznaki grasującej morskiej choroby. Wybiegałem parę razy w nocy na pokład, aby własnymi oczyma zobaczyć przelewającą się przez burty falę. Nie tyle strach o własne i bliźnich życie, ale dbałość o motocykl, który nas po świetle obwozi i który formalnie przez całą noc moczył się w słonej wodzie, wypędzała mnie na pokład. Dopiero nad ranem i blisko Afryki morze się uspokoiło.

Po męczących przejściach morskich czeka nas nowa niespodzianka. Stary lekarz okrętowy bez pardonu szczepi wszystkich szczepionką nieodgadniętą przez nikogo. Jedni mówią, że przeciw cholercie, drudzy przeciw tyfusowi, inni — przeciw wszystkim „cholercom świata”. Poddaję się i ja temu zabiegowi, bo co mam robić, inaczej na ląd nie wypuszczą.

Na powitanie Afryki o godz. 11.50 — czepia się nas nowy pech. Pokazuje się, że włoskie władze nie załatwiły formalności z naszymi motocyklami.

Drobna to na pozór rzecz, ale zabrało nam trzy długie dni włóczenia się od urzędu do urzędu. Ta tak u nas zachwalana często dla ideowej opozycji biurokracja francuska, tutaj w Tunisie okazuje się stokroć gorsza od naszej na miejscu. Cudzoziemców traktuje się jak konieczne zło, interesant, przepędzany z urzędu do urzędu, zbiera tylko moc papierków, z których każdy następny urząd nic konkretnego wyciągnąć nie może, aż wreszcie trafi szczęściem na chętnego do pracy i napiwku kancelisty, który splot kancelaryjnych paragrafów i węzłów sławnym baczyszem<sup>50</sup> w kilku minutach rozwiąże. Złośliwi twierdzą, że to jest spadek po długoletniej przyjaźni rosyjsko-francuskiej. Nas jednak ratuje ostatecznie konsul włoski, który ocala z kłęski kieszeniowej i przywraca honor niedbałym we własnej ojczyźnie władz celnych.

<sup>49</sup> *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *baczysz* a. *bakszysz* — w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej: datek, zwykle za drobną przysługę lub usługę; napiwek; łapówka. [przypis edytorski]

Bieda, Żebrak

Maszyna



Przez te trzy dni wolny czas od zwiedzania urzędów poświęcamy studiowaniu miasta. Mimo że upał w godzinach południowych (a jest to lipiec) dochodzi do 65 °C, znosimy go, gdyż tutejsze gorąco jest zupełnie suche, tylko głowy należy przezornie chronić przed pociskami słońca. Obserwujemy tradycyjne nakrycie głów mieszkańców (fezy<sup>51</sup> owinięte turbanami) i nie dziwimy się, że ono jest częścią narodowego ich stroju, gdyż wynika to z potrzeby. Tylko przez szczelne owinięcie głowy przed promieniami słonecznymi unika się zabójczego ich działania.

Słońce, Lato

Tunis jako miasto jest bardzo ciekawe; właściwie są to dwa miasta. Jedno wykwintne, europejskie środowisko, przystosowane do klimatu, o szerokich, asfaltowych, czystych ulicach z tramwajami, o średnim ruchu samochodowym, pełne budynków nowoczesnych z wystawami sklepów, przypominające duże miasta europejskie, z licznymi i zmodernizowanymi już kawiarniami arabskimi, w których większość klienteli, prawie 100%, stanowią autentyczni Arabowie. Ta lwia część publiczności to przeważnie bogaci eleganccy Arabowie w czystych białych narodowych strojach i czerwonych fezach. Oni przesiadują w kawiarniach dzień i noc. Arabskich kobiet się nie widzi — tak głęboko zakorzenione są jeszcze tradycje religijne; Arabkę biedną czy bogatą spotkać można przelotnie na mieście, ale twarz jej chroni zasłona przed niepożądanym okiem.

Miasto

Inne jest zupełnie życie w arabskich dzielnicach. Ulice wąskie, dosyć brudne, trochę cuchnące i hałaśliwe. Rękodzielnictwo i handel odbywa się prawie na ulicy. Każdy ze sprzedających gwałtem prawie ściąga klienta. Konkurenci przekrzykują się wzajemnie, pocąc się przy tym niemilosiernie.

Aby tylko handel szedł, a zdrowia pod tym jasnym niebem nie zabraknie. Z okien naszego hotelu obserwujemy wędrówki mieszkańców dzielnicy arabskiej, na dachy płaskie swoich domów wylegających wieczorem na spoczynek, z materacami i poduszkami. Latem Arab uważa za swój obowiązek spanie na otwartym powietrzu; przypuszczam, że tego przyczyną są nieodstępne (jak tu twierdzą) Arabom w mieszkaniach, serdecznie do nich przywiązane, pluskwy. Tak to sprytny naród arabski łączy piękne z pożytecznym!

Jedną jest jeszcze rzecz godna podziwu i uwagi — wspaniała arabska mokka podawana w kawiarniach. Nasza najlepsza warszawska kawa w porównaniu z nią wypada bardzo błado. Daleki jestem od ubliżania naszym cukiernikom i kawiarniom, ale po kilkudziesięciu wypiciu w kilkunastu kawiarniach mokki arabskiej doszedłem do niezbitych pewności, że kawa u nas, nawet tak zwana „prawdziwa mokka”, musi występować w mezalianach<sup>52</sup> z mniej szlachetnymi artykułami tak zwanej „pierwszej potrzeby”, jak żółędzie, jęczmień, cykoria, a nawet, jak twierdzą, paloną marchwią. Dostojnego tutejszego Araba po wypiciu jednej czwartej filiżanki naszej „prawdziwej mokki” tknęłaby nieszlachetna apopleksja serca lub mózgu. Mój pobyt w arabskim kawowym rajku mrozi brak dobrych papierosów. Ma się wrażenie, że dobry wschodni tytoń tutejszy ucieka do Francji, a z Francji przychodzi prawdziwy francuski tytoń, który podług mnie tyle ma wspólnego z tytoniem, co warszawska mokka z tuniską mokką. Rad by się człowiek zaciągnął nikotyną i ćmi francuskie specjalności, oglądając się na wszystkie strony, skąd tyle swądu ze stęchłej słomy? A niechże prorok ich ciężką chorobą dotknie za takie „prima” papierosy. My narzekamy na nasz monopol tytoniowy, a tam, tysiące kilometrów od niego, oglądamy się tęsknym okiem za drogą nam sercu budką inwalidzką<sup>53</sup>. Na wspomnienie naszych ergo, płaskich, madenów, egipskich — człowiek rozczula się.

Robotnik, Kolonializm

Chodząc po mieście, zauważam, że Francuz i na obczyźnie ogromnie hołduje zasadom ciężkiej pracy, w tym wypadku tu, w Tunisie — „zasadom ciężkiej pracy Arabów”. Wokół spichrzy i składów towarowych portu widać roje zachudzonych i ciężko zapracowanych robotników arabskich. Po wyglądzie i minach pracujących widać pełne niezadowolenie z warunków pracy i płacy. Ku wieczorowi całe gromady ich formalnie rzucają się w zabru-

<sup>51</sup>fez — nakrycie głowy noszone przez mężczyzn w w krajach muzułmańskich: czerwona filcowa czapka o kształcie walca, ozdobiona czarnym frędzlem. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>mezalians — małżeństwo z osobą biedniejszą lub niższego pochodzenia. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>budka inwalidzka — w okresie międzywojennym uliczne kioski z wyrobami tytoniowymi w pierwszej kolejności przydzielano w dzierżawę inwalidom wojennym. [przypis edytorski]

dzone przy brzegu morze, aby tylko nieco się odświeżyć i pośpiesznie wracać do domu. Pokazuje się, że nie tylko jeden „Żyrardów”<sup>54</sup> jest na świecie.

Po załatwieniu wszystkich formalności decydujemy się na jazdę do Algieru, a zmusza nas do tego bardzo stracony niepotrzebnie czas i zachęcają doskonale, przeważnie asfaltowe drogi. Zatem 22 lipca ku wieczorowi pożegnaliśmy Tunis, myśląc, że pech, towarzyszący nam od chwili wylądowania w Afryce, złapie się co najmniej francuskiej biurokracji. Arabowie mają go już dosyć podobno od czasu zajęcia Tunisu przez Francuzów. Stało się inaczej: tuż za miastem rzuca się na nas huraganowy wiatr, ciągnący nieprzerwanie z pustyni. Choć mój „rumak” obciążony jest trzema osobami oraz sporym bagażem, muszę dobrze trzymać kierownicę, aby w pędzie nie zjechać na bok.

Wokół wszędzie równiny step, z zupełnie spalonymi słońcem trawami i chwastami. Osiedla ludzkie bardzo rzadkie, czasem trafia się na drodze Arab chudy, na jeszcze chudszy osiołek. Stacje benzynowe i w tych stronach dosyć częste. Nocleg urządzamy sobie w miasteczku Beja<sup>55</sup>. Właściciel garażu, z tamtejszych „naszych” (żydek), dowiedziawszy się, że przybywamy z Warszawy, na pamięć o swoim przyjacielu lekarzu w Warszawie lokuje nasze motocykle bezpłatnie w garażu i wskazuje tani hotel. Z jadłem jest nieco gorzej, poza jajami i winem nie ma co w hotelu dostać, zmusza to moją żonę do wyjścia o godz. dziesiątej wieczór na miasto w poszukiwaniu chleba i wędlin albo sera. Okazanie się jej w tak późnej porze, w dodatku samej i w męskim kostiumie sportowym, robi u zgromadzonych na rynku tubylców szalony ruch. Nie chcą wierzyć, że to kobieta, bo mimo sportowego męskiego stroju łatwo przecież poznać można, odważa się sama wyjść na miasto. Dowiedziawszy się, że jednakże jest przyjezdną Europejką, ułatwiają jej zakupy. Prawdopodobnie Arabce by nie wybaczyli, a dżentelmeneria zamieniłaby się w brutalność. Jak długo od wieków są tu Arabowie, jeszcze Arabka po zachodzie słońca nie wyrzała na miasto. Mimo nocy na rynku odbywają się śpiewy i gromadne palenie fajek, i picie kawy przy księżycu — jedynie mężczyźni! Zwyczaj ten da się wytłumaczyć straszliwym upałem w dzień, jak dla Arabów nawet w lato afrykańskie.

Rankiem 23 lipca ruszamy dalej. Okolica pusta i spalona słońcem, wiatr jakby ręką uciął, ustał, słońce pali niemilosiernie, drogi puste, tu i ówdzie mijamy włóczące się senne karawany. Po południu wjeżdżamy w teren górzysty, upstrzony lasami dębów afrykańskich i drzew korkowych, inne tu już powietrze, bo nie brak zieleni, poziom wyższy. Nic dziwnego, że przerywamy na przeszło godzinę podróż, aby nasycić się atmosferą lasów. Znajdujemy ku naszemu zdziwieniu ćwierkające drzewo. Początkowo przypuszczaliśmy, że to są głosy wydawane przez jakieś owady żerujące na tych drzewach; wytłumaczono nam później w Algierze, że odgłosy te, dosyć silne, wydają liście tych drzew przy ocieraniu się o siebie podczas poruszenia choćby najłżejszym wiatrem. Nazwy tych niesamowitych, a zarazem rozrośniętych dobrze drzew nie pamiętamy.

Dalsza droga przez góry zaczyna być powolna i noc zastaje nas w hoteliku miasteczka, którego nazwy nie zapisałem, widząc je tylko w nocy. Jeszcze jeden dzień, 24 lipca, po górach, które ostatecznie się nudzą — gorąco nie do wytrzymania, oddycha się ciągle pustynią wraz z jej rozpalonym piaskiem. W mijanych miasteczkach i wsiach pustki — tylko śmiały Europejczyk w taki żar może odbywać drogę, zrobiwszy w tym dniu 245 km. Jeszcze jedna noc w napotkanej w drodze osadzie francusko-arabskiej i zbliżamy się 25 lipca wraz z kończącymi się górami do Algieru. Każdy kilometr bliżej Algieru to równocześnie zbliżanie się do morza, którego tchnienie jak powiew wiatru na pół łagodzi wysiłki i milszą czyni podróż. W drodze napotykamy już na pięknej i żyznej równinie na kolonizację francuską, bogate, rozległe kilometrami winnice, wspaniałe sady owocowe, z zieleni których wystrzelają ku niebu smukłe palmy. Domki mijanych wsi i miasteczek wyglądają jak zgrabne pudełeczka. Tu wszędzie widać ogrom pracy europejskiej, drogi wspaniałe, szerokie, asfaltowe z coraz żywszym w stronę Algieru ruchem samochodowym. Obiad jemy w małej osadzie już po europejsku, nie mogąc nadziwić się panującej

<sup>54</sup>Żyrardów — miasto w woj. mazowieckim, ośrodek przemysłu włókienniczego; w okresie międzywojennym głośne z tzw. afery żyrardowskiej: procederu polegającego na sprzedaży w 1923 majątku Skarbu Państwa w postaci akcji zakładów wyrobów lnianych w Żyrardowie, największej tego typu fabryki w Europie, za ułamek ich rzeczywistej wartości, a następnie wyprowadzaniu majątku przez francuski zarząd przedsiębiorstwa; upadek zakładów pociągnął za sobą bezrobocie, biedę i podupadnięcie miasta. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Badża (fr. *Béja*) — miasto w pfn. Tunezji, ok. 100 km na zach. od Tunisu. [przypis edytorski]

Żyd

Kobieta

Drzewo

Podróż, Pustynia

Kolonializm

tu wszędzie czystości. Potrawy w takich warunkach smakują znakomicie. Na deser rozkoszujemy się świetnymi owocami i dziwne to wszystko w małej restauracji, prowadzonej przez rodowitą Włoszkę emigrantkę. Zaraz po południu osiągamy Algier, pozostawiwszy za sobą w tym dniu tylko 117 km. Z daleka z drogi widać go i na horyzoncie rysuje się jego potężna na wzgórzach w półkole nad morzem sylwetka. Miasto już przy wjeździe czyni dobre i miłe wrażenie czystością i stanem dróg.

Na wstępie odwiedzamy honorowego konsula Rzplitej Polski, aby zadość uczynić przyzwyczajeniu, gdyż wszędzie, gdzie znajdujemy konsula Rzeczypospolitej, prosimy go o stwierdzenie na odpowiednim arkuszu naszego pobytu w danym miejscu jego urzędowania. W Algierze warto się zatrzymać parę dni, rozłożony jest bowiem na górach, nowoczesny w środku, z przydzielonymi do niego dzielnicami czysto arabskimi, jest godny oglądania i opisu. Komfortowe, nowoczesne budynki europejskie w smacznym stylu pną się po wzgórzach. W parze z budynkami idą parki, skwery i aleje oraz świetnie utrzymane ulice. Na skwerach pełno rozłożystych palm. Domy gustownie dekorowane kwieciami. W dzień ruch na ulicach nietęgi, możliwe, że ze względu na gorący miesiąc roku. Życie ulicy tętni za to silną gorączką podczas nocy, wówczas przewalają się po chodnikach tłumy i wrą od głosów i muzyki kawiarnie. Kontrastem tego wszystkiego strony arabskie miasta; tak jak w spotykanych już poprzednio miastach i miasteczkach afrykańskich ulica stanowi tylko życie w dzień, jak zwykle z nieodłącznym piekłem zaduchu i okropnego krzyku przekupniów. Ulice bardzo wąskie, pełne takich kup śmieci, na widok których nawet magistrat warszawski urządziłby rewolucję. Formalne sterty odpadków, przeważnie jarzyn i skorup z melonów. Noc przechodzi nasze oczekiwanie, gdyśmy się tam przed północą wybrali. Całe męskie miasto arabskie tłoczy się formalnie po ulicach. Arabowie nie znają teatrów, zastępuje go ulica księżycową nocą. Tłumy ich siedzą, podwinąwszy nogi pod siebie na chodnikach, włóczą się po mieście trupy tancerek, kuglarzy, grajków, a w tym wszystkim gra rolę barów naszych handelek na ulicy. Można spróbować ciastek arabskich — coś w rodzaju naszego chrustu — w oczach jedzącego wypiekanych i maczanych w gorącym miodzie. Nawącha się człowiek dymów kadzidłowych, zapewne urządzanych po to, aby właściwy zapach ulicy przydusić. Kawiarnie, te czysto arabskie, wabią mocną kawą, pełno w nich tubylców i międzynarodowej mieszaniny grającej w kostki.

Skoro widzieliśmy już tyle, dajemy się namówić przez naszego przewodnika — naturalnie emigranta rosyjskiego (oficera bylej carskiej armii), którego poznaliśmy w naszym hotelu — do zwiedzenia dzielnicy „wolnej i płatnej miłości”. To, co u nas jest w Europie wstydliwie przykryte, tu występuje z całą jawnością ohydy. Kręcące się w tych dzielnicach towarzystwo prócz pijackich śpiewów urządza także strzelaninę, a wszystko to się dzieje w atmosferze niepomyślanego u nas brudu i zaduchu. Te piękne i niepiękne widoki życia algierskiego zasnuwa jednak wspomnienie, gdy człowiek pomyśli o posiłku, pamięć wykwiintnej francuskiej kuchni, do której niestety człowiek posłuszny rozkazom żołądka, chcąc nie chcąc, powrócić musi. Szarpie nas przy tym tęsknota za pocziwą polską kuchnią z kilku kieliszkami monopolówki. Osobiście nie lubię francuskiego jadła z sałatami, ostrygami i różnym morskim jadalnym świństwem, a tu na domiar, w Algierze, jeszcze ze smażonymi ślimakami.

Ku wieczorowi 27 lipca harleye nasze lecą z nami po najpiękniejszej z dotąd spotykanych dróg do Oranu (502 km). Ciągnie się ona niejednokrotnie tuż nad samym morzem i bita jest na zboczu prostopadłych prawie gór. Od morza dzieli drogę las rozkwitłych oleandrów<sup>56</sup>, a za nimi huczy lazurowe błękitne morze. W czasie jazdy ma się wszystko — powietrze, słońce i niezapomniane czarujące widoki. W tych pięknych warunkach harley po asfalcie pożera łapczywie kilometry. Przed zapadnięciem nocy znajdujemy kwatery u wyjątkowo gościnnego Francuza.

Nazajutrz 28 lipca w drodze na Oran wjeżdżamy w żywsze równiny i koło południa przybywamy do Oranu<sup>57</sup>. Miasto już prawie że francuskie. Tu zmieniamy trasę naszej podróży. Mieliśmy jechać na Fez (Maroko) do Tangeru i Portugalii, do Maroka jednak

Miasto

Droga

<sup>56</sup>oleander — wiecznie zielone drzewo ozdobne o dużych czerwonych, różowych lub białych kwiatach i skórzastych liściach. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Oran — duże miasto portowe w płn-zach. Algierii. [przypis edytorski]

udziela wizy sam tamtejszy gubernator<sup>58</sup>, do którego musielibyśmy się telegraficznie odnieść o zezwolenie wjazdu. Odpowiedź, ewentualnie nawet odmowna, mogłaby nadejść przy znanym tamtejszym władzom pośpiechu nawet za 3—4 dni minimalnie. Tak już mamy poważnie nadszarpnięte czasy urlopu, więc rezygnujemy z Maroka i odpływamy dnia następnego do Hiszpanii.

Krótki był nasz pobyt w tym skromnym skrawku Afryki.

Im bliżej morza, tym milej, da się ogólne wrażenie wyrazić. Ku południowi dalej, kilometr za kilometrem, bliżej pustyni, zachłannej, bezwzględnej niszczycielce zieleni. W tej części Afryki są dwa światy ludzkie, tubylcy Arabowie i panowie francuscy. Mówią o Arabach, że mimo wszystko nie zapomnieli być Arabami, w zwyczajach, mowie i nienawiści do obcych. Są również Arabowie związani już z Francją tysiącami interesów, ludzie syści i zadowoleni z życia. Takie typy były i za samodzielnego życia Tunisu i Algieru.

W porównaniu do naszych typów są to „od czwartej do dwudziestej brygady osobniki”, dla których wszystko jest dobre, jak dobrze idzie.

Tłum arabski jest biedniejszy od naszego, są to prawdziwi nędzarze, wobec których nawet nasz bezrobotny jest bogaczem. Widać na nich wprost nędzę, i to nie na ubraniu, ale na twarzy bite piętno wyzysku kolonizacji. Francja bezsprzecznie dała ogładę kultury naszej północnej Afryce. Świadczą o tym budowle, drogi, kultura rolna. Ale czy na tym dobrze wyszli Arabowie, to już jest inna kwestia. Szczególnie ta szara masa arabska, tłum wielkomięski i wielkie rzesze ubogich rolników.

Przeprawa, trwająca pół dnia i noc, tym razem sprawiła dużą przyjemność. Księżycowa noc i spokojne morze oraz orzeźwiający chłód, w dodatku bez przypadłości żołądkowych, skróciły bądź co bądź dłuższą podróż. Wczesnym rankiem przybywamy do portu Alicante<sup>59</sup>. Miasto mało ciekawe, a zresztą dosyć się już naoglądaliśmy wszelakich portów. Po śniadaniu harley wiezie nas po nierównej miejscami jezdni, górzystym terenem, spalonym od słońca, do Walencji (175 km). Po spożyciu obiadu w mieście wyjeżdżamy z mocnym postanowieniem dostania się tego dnia do Madrytu. W drodze jednak za Walencją towarzyszący nam, ppłk. Siczek, jadący na swoim harleyu na przodzie, przez nieuwagę ciągnącej w przeciwną stronę hiszpańskiej biedki<sup>60</sup> — ulega katastrofie. Jakby na szczęście, w parę chwil po wypadku zatrzymuje się jadące od strony Madrytu auto i ku największej uldze dowiadujemy się, że jadący dwaj panowie są lekarzami (ojciec i syn). Natychmiast przystąpili do swej samarytańskiej służby i polecili ofiarę wypadku przewieźć do szpitala. To zmusza nas do powrotu do Walencji (około 40 km). Towarzysza umieszczamy w powszechnym szpitalu, gdyż okazuje się, że skutki wypadku, aczkolwiek nie są zbyt groźne, jednak kilkudniowy pobyt w szpitalu jest konieczny i fakt ten przykuł nas do miejsca. Uporanie się z rannym zabrało nam sporo czasu, tak że późną nocą lokujemy się w hotelu. Towarzysz nasz jako wojskowy pragnął przeniesienia do szpitala wojskowego i ja, chcąc przeforsować jego prośbę u władz wojskowych, udałem się następnego dnia do tamtejszego dowódcy korpusu celem wyjednanego zgody.

Wysoki ten dygnitarz, w randze generała dywizji, przyjął mnie nadzwyczaj życzliwie i w słowach prostych a szczerych, w których brzmiała nuta dumy z poznania przedstawiciela armii polskiej, zapewnił mnie, iż wystara się niezwłocznie telegraficznie z ministerstwa w Madrycie zgody na przeniesienie chorego do szpitala wojskowego. Rozpytując się mnie o warunki podróży, wprost namówił do przyjęcia dla reszty ekipy bezpłatnego lokum w gmachu rządowym na czas pobytu naszego w Walencji.

Mimo iż cały świat rozbrzmiewał wieściami o rewolucji hiszpańskiej<sup>61</sup>, znaków jej jednak zewnętrznych naocznie nie zauważyliśmy. Wprawdzie druga spędzona noc w Walencji dla uszu groźna była, gdyż wyraźnie ryczały armaty, o mury kamienic tłukł się odgłos strzałów karabinowych, ale jak się okazało nad ranem, był to rodzaj festynu nocnego dla okolicznych mieszkańców wsi, dorocznie tu urządzany. Walencja jest ładna,

<sup>58</sup>do Maroka jednak udziela wizy sam tamtejszy gubernator — od 1912 Maroko było protektoratem Francji; w 1956 uzyskało niepodległość. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Alicante — miasto na wsch. wybrzeżu Hiszpanii, z portem śródziemnomorskim; stolica prowincji. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>biedka — mały dwukołowy wózek, ciągnięty przez jednego konia. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>rewolucja hiszpańska — tu: wydarzenia w Hiszpanii w roku 1931, kiedy po wyborach samorządowych z 12 kwietnia, w których monarchiści ponieśli druzgoczącą klęskę, premier podał się do dymisji, 14 kwietnia proklamowano Republikę i zmuszono króla Alfonsa XIII do emigracji. [przypis edytorski]

Kolonializm

Bieda, Kolonializm

Katastrofa

posiada jak wszystkie dawne miasta i swoją starą dzielnicę średniowieczną, i nowoczesne, kilkupiętrowe kolosy miejskie. Z pożywieniem idzie tu nam lepiej niż we Włoszech; znać, że kraj jest bogaty w produkty rolnicze, mięsa tu się widzi więcej niż we Włoszech, sposób przyrządzania potraw na oliwie przypomina jedynie kuchnię włoską. Zaznaczyć wypada, że nie spotykamy tu ani rażącej biedoty, ani natrętnego zawodowego żebractwa. Widzimy bardzo ładne kobiety hiszpańskie, wprost rasowe i w większej części noszące się po hiszpańsku. Kolor stroju przeważnie czarny i zamiast różnobarwnych kapeluszy głowę utulają czarne koronkowe szale, toteż nic szczególnego w tym, że w mieście spotkaliśmy jedynie jeden sklep z damskimi kapeluszami, ale za wystawą. Podnieść też muszę szczególną taniość wszystkich bez wyjątku artykułów. Jako o rzeczy godnej zanotowania wspomnieć muszę o trzymaniu w domach zamiast kanarków śpiewających ptaków — przepiórek. Nie ciągnie nas jednak jako cudzoziemców prastare widowisko hiszpańskie „walki byków”, widzimy i tak toreadora z pomocnikami w pochodzie triumfalnym po ulicy wśród wrzasków i rzucania kwiatami, sama jednak krwawa zabawa jakoś nas nie pociągnęła.

Kobieta, Strój

Do dnia 4 sierpnia odpowiedź z Madrytu nie nadeszła (jak się później okazało, zasię-gano informacji przez polski konsulat w ministerstwie w Warszawie, co było powodem zwłoki), a że nasz towarzysz czuł się lepiej, postanowiliśmy opuścić Walencję, toteż tego dnia po południu ruszyliśmy w drogę na Madryt (361 km). Droga, w większej mierze asfaltowa, na terenie falistym ciągnie się pośród winnic, pól uprawnych, z których już sprzątnięto zboże. Mijane wsie, przeważnie stawiane z kamieni i rzadko z cegły, wyglądają raczej na zgrupowanie się dosyć malownicze starych ruin niż na osiedla ludzkie. Napotykamy wzdłuż całej drogi na szczegól bijący w oczy, który tłumaczy zarazem znaną szeroko w świecie dotąd (przed rozpasaniem się rewolucji) bogobojność religijną Hiszpanów. Czy wioska posiada paręset domów, czy dwadzieścia domów — kościół murowany wybija się swoją sylwetką z daleka jako najwyższy budynek ludzkich siedlisk. Poza tym zauważamy, zatrzymując się chwilę w mijanych wsiach, nieomylny znak zacofania się w kulturze rolnej. Może to się zdawać nie do wiary nam, żyjącym w tutejszym zmiennym klimacie, ale widzieliśmy jak młocka zboża dokonywa się przez przepędzanie po klepisku na otwartym powietrzu, w sąsiedztwie zabudowań lub nawet daleko w polu, koni, krów, mułów i osłów po roztrzągniętych na gołej (twardej) ziemi snopach. Zastępuje to i nasze rodzime ubijanie snopów cepami, i pracę młocarń ręcznych, których, jak mi się przelotnie wydaje, dotąd mało w Hiszpanii używają. Mijana połać kraju robi dziwnie smutne w swoim spokoju i powadze wrażenie. Może pora gorąca tłumaczy nam bardzo słaby ruch na drogach.

Wieś

Wieś, Religia

Wieś

Prawie w połowie drogi znajdujemy nocleg w małym miasteczku, bardzo tani i dość wygodny. O żywność w tych stronach, w dodatku po bardzo przystępnych cenach, nie jest trudno. Pozostała droga do Madrytu nie daje szczególniejszych wrażeń, dodam tylko, że na wirażach uderzył nas, po raz pierwszy w całej drodze od Warszawy, rodzaj ich budowy: coś na kształt budowy krzywizn na stadionach motocyklowych, co jest wyrazem ulepszeń trasy w czasie szybkiej jazdy i zarazem paraliżuje w dużej mierze możliwość katastrofy na tych właśnie wirażach.

Droga

Do stolicy Hiszpanii przybywamy tegoż dnia 5 sierpnia w godzinach obiadowych. Dowiadujemy się tutaj, że konsulat nasz, zwyczajem całej dyplomacji madryckiej, na czas letni urzęduje w zdrojowisku San Sebastian. Zwyczaj to jest konieczny, gdyż życie urzędowe za przykładem głowy państwa tam się w letnich miesiącach przenosi. Jest to wynikiem tak zwyczajem, jak i ochroną przed zbyt gorącym latem w Madrycie. Jak na stolicę wielkiego dosyć państwa Madryt jest zbyt mały, ale piękny, pełen skwerów o silnym zadrzewieniu, imponujący tak dawnymi budynkami, na których znać minioną już potęgę światową Hiszpanii, jak i nowymi budowlami o wielkich rozmiarach. Ani na twarzach Hiszpanów, ani po zewnętrznych oznakach na murach i ulicach nie znać rozslawionej już, toczącej się rewolucji. Absolutny spokój, pełno ludzi w kawiarniach, tak iż na pierwszy rzut oka wyczuwa się przesadę w rozpisywaniu wypadków przez światową prasę (a może

nam się tak zdaje) lub może rewolucja jest więcej gadana, a Burbonowie<sup>62</sup> raczej zwiali z Hiszpanii od krzyku niż od rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Po kilku godzinach włączenia się po mieście ruszamy przed wieczorem ku San Sebastianowi przez Burgos (463 km) ku północy. Daje się zauważyć coraz gęściejsze zaludnienie, co widać po ilości mijanych wsi i rozmieszczeniu się miasteczek. Teren z pagórkowatego przechodzi coraz bardziej w równinę, zadrzewienie gęścieje i okolice nie są już tak wyniszczone od działań promieni słonecznych. Osiedla ludzkie schludniejsze, znać, że bliskość Francji robi swoje. To już nie jest ten hiszpański świat zabity deskami od reszty Europy. Właśnie w tych stronach oznaki rewolucji są gwałtowniejsze, choć ich nie mieliśmy możliwości na szczęście spotkać, ale o tym się tu coraz głośniej mówi. Jednak, co obserwujemy po naszych kieszeniach, żąb przewrotu w kraju nie dotknął cen, bardzo tania nie tylko żywność, ale o dziwo pokarm naszego pocziwego rumaka harleya — cudotwórcza benzyna. Podczas rewolucji kosztuje jeszcze 48 gr za litr. Kiedy wspomnę cenę naszej krajowej benzyny, przychodzi mi na myśl chęćka urządzenia prawdziwej rewolucji rodzimym rafineriom i całej bandzie z tak zwanego „kartelu benzynowego”, bo to już nie kartel, ale zwyczajna „granda” benzynowa.

I nic dziwnego, że tu (po tej stronie Hiszpanii) tak żywy ruch automobilowy, kiedy można dwa razy dłużej jechać, biorąc rzecz rachunkowo, na hiszpańskiej benzynie niż na naszej. Ciekaw bym był, gdyby tamtejszy kartel trzymał się takiej ceny jak u nas, jakby wyglądał ruch automobilowy i w ogóle wszelki ruch oparty na benzynie. Mam jednak wrażenie, że Hiszpanie by na to nie pozwolili i zrobiliby tak zwany dość ciężki „odruch”.

Do San Sebastian za daleko jak na kończący się dzień, więc spoczywamy w miasteczku Miranda<sup>63</sup>, niepobudzającym do wglądu w jego zewnętrzny dla nas, jako dla przejezdnych, wygląd: dużo takich się spotyka, pierwsze robi wrażenie, o ostatnim już się zapomina. Wreszcie jest nam już pilno do kraju, bo w portfelach więcej skóry i płótna niż banknotów. Zmienimy te ostatnie grube, to drobne się rozejdą i nie będzie za co wracać do Warszawy.

Po wspaniałej drodze San Sebastian<sup>64</sup> wita nas śliczną pogodą i rozweselonymi kuracjuszami. Składamy wizytę w konsulacie polskim. Niestety pan konsul chwilowo na urlopie i nie mamy przyjemności go osobiście poznać. Dostajemy zaświadczenie naszego pobytu w Hiszpanii od radcy handlowego konsulatu. Mimo to doznajemy serdecznego przyjęcia, co w dużej mierze zawdzięczamy korespondencji hiszpańskiego Ministerstwa Wojny z konsulem Polski w sprawie ppłk. Siczka, który to wypadek na szczęście tak pomyślnie się skończył. Dlatego jesteśmy w konsulacie polskim bohaterami dnia i nie szczędzą nam jadła i dobrego hiszpańskiego wina, jako też bezpłatnego mieszkania w prywatnym pensjonacie. San Sebastian bardzo nam się podobał, tak miasto, nadzwyczaj schludne, jak i plaża, wprost wymarzona dla wypoczynku. W mieście na ogół błogi, zadowolony z siebie spokój. Gwar życia z humorem i pięknymi paniami wyniósł się na plażę; jest jeszcze gorąco i kuracjusze wolą chłodzić się nad morzem niż wypoczywać na leżakach w domu. Gdybym miał po temu i środki, chętnie bym spędzał czas urlopu w San Sebastian. Jest tu rzeczywiście tanio jak na światowe kąpielisko. Przedsiębiorcy pensjonatów nie byli widocznie na przeszkoleniu w naszych uzdrowiskach, gdyż są uprzejmi i liczą się z kieszenią klienteli, a za powietrze zdrojowiskowe nie doliczają według naszej krajowej taksy do rachunku 100% — Hiszpan czy Francuz posiadający pensjonat w San Sebastian ceni więcej zapomniane u nas cnoty, honor i uczciwość kupiecką, niż mamonę. Odbija się to na kuracjuszach, wyglądem swoim przypominających ludzi bez troskich. Jeśli zechcemy kiedyś konkurować ze zdrojowiskami hiszpańskimi, to tak jak Niemcy w 1918 roku bolszewików do Petersburga, celem dokonania krwawego przewrotu, tak my posłemy w zamkniętych wagonach kilku naszych dyrektorów pensjonatów

Pieniądz

<sup>62</sup>Burbonowie — dynastia królów francuskich, panujących też w Hiszpanii (od XVIII w.) oraz w królestwach włoskich. Alfons XIII (1886–1941) z dynastii Burbonów panował jako król Hiszpanii do ustanowienia Drugiej Republiki Hiszpańskiej (14 kwietnia 1931), kiedy został zmuszony do wyjazdu z kraju; zamieszkał w Paryżu, ale oficjalnie nie abdykował. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Miranda de Ebro — hiszpańskie miasto nad rzeką Ebro, na północy prowincji Burgos. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>San Sebastián — miasto w pñ.-wsch. Hiszpanii nad Zat. Biskajską, tuż przy granicy z Francją; popularna miejscowość wypoczynkowa. [przypis edytorski]

znad polskiego morza do Hiszpanii. Bez rozlewu krwi rozbijają oni cenami San Sebastian, a w rok potem tamtejsi burżuje- sansebastianie zejdą do roli proletariuszy bez butów.

Rankiem 8 sierpnia zaczynamy ostatnie godziny naszego pobytu w Hiszpanii. Prawie w dwie godziny od wyjazdu z San Sebastian jesteśmy już na granicy hiszpańsko-francuskiej. Rewolucyjna Hiszpania, w której nie widzieliśmy rewolucji, zrobiła na nas silne wrażenie uprzejmością, ułatwieniem życia cudzoziemcom i dlatego, sądząc po przejechaniu całej Hiszpanii, jestem pewny, że tam się szybko całe zawikłanie uspokoi. Popalą tu i ówdzie za bolszewickie czerwienie<sup>65</sup> kościoły i historyczne gmachy, a kiedy w końcu wspomną, że niszczą własny tak piękny kraj i pamiątki — udekorują agitatorami latarnie, a na znak zwycięstwa nad ideałami Marksa i Lenina na walkach byków znów pobrata się cały ten dumny naród i kto wie, czy z powrotem nie zatęskni do nowego „Alfonsa”. Nie ma w nich krwiożerczości, ale jest ten dostojny spokój i duma, że byli kiedyś panami połowy świata.

Na powitanie Francji wpadamy po drodze na parę godzin do Biarritz<sup>66</sup>, aby mieć choć pobieżnie pojęcie, jak wygląda owo słynne kąpielisko. Na pobyt tutaj może sobie pozwolić przeważnie bogaty i tacy tutaj rokrocznie się zjeżdżają.

W drodze podziwiamy Francję. Wysoka kultura rolna, drogi wspaniałe, równe i szerokie, ruch na nich żywy, to wszystko przekonywa o potędze pieniądza i ducha francuskiego. Odpowiednie do dróg spotyka się osiedla ludzkie, większe i mniejsze, po których wspomnienia naszych wsi i miasteczek wypadają bardzo minorowo<sup>67</sup>. Domki jak pudełka do zabawy, czystość ulic bijąca w oczy. W dzień wszyscy pracują i tę pracę widzi się tak w polu, jak i przy domu. Bogata Francja! Gdzie tym brudnym i obdartym dziatkom włoskim do ich rówieśników we Francji. I starsi ludzie weselsi, a to wszystko świadczy, że Francja obok bogactwa jest szczęśliwa.

Pierwszy nocleg w drodze do Paryża wypada nam w jednym z mijanych miasteczek. Następnego dnia, 9 sierpnia, w drodze przez Angoulême<sup>68</sup> do Tours<sup>69</sup> wlecemy się miejscami powoli, gdyż obecnie jest po żniwach i wozy ze zbożem zapełniają drogę. Wypada jeszcze zatrzymać się w Tours na jedną noc. Miasta nie oglądamy, bo urlop ma się ku końcowi, a parę dni przecież trzeba poświęcić Paryżowi.

Dnia 10 sierpnia przejeżdżamy przez miasto Orleans<sup>70</sup> i przybywamy w południe do Paryża. Wspomnieć muszę, że sam wjazd do centrum miasta trwa przeszło godzinę, co świadczy o olbrzymim rozbudowaniu się Paryża. Ruch szalony, gdyż teraz w dodatku odbywa się Wystawa Kolonialna<sup>71</sup>. Ani jej, ani Paryża opisywać nie zamierzam. Czym jest Francja, wystarczy być w Paryżu. Tu nawet ruch kołowy na ulicach jest wyidealizowany, szoferzy naprawdę umieją jeździć, chociaż ta brać jest tutaj międzynarodowa. Zarazili się subtelnością Francuzów we wszystkim. Nie ma tego okropnego trąbienia, gdyż jeden drugiemu nie wchodzi w parę. Czuję się, nie znając paryskich przepisów, lepiej niż w Warszawie w czasie największego ruchu na ul. Marszałkowskiej lub Nowym Świecie, choć tu ruch jest stokrotnie większy. Ja na moim strudzonym harleyu, zakurzonym i obłoconym, szacunek tylko i ułatwienie spotkałem. Wyczuwano, że jestem dalekim wędrowcem, a takiego w Paryżu cenią.

Musimy się tutaj wprzód pożegnać z naszym towarzyszem ppłk. Siczkiem, któremu gorączka po odniesionych kontuzjach nie pozwala na hazard<sup>72</sup> ze zdrowiem i musi odbyć kurację w szpitalu. Zwiedzamy przez trzy dni Paryż, tak ten stary z widocznymi

Droga, Wieś

<sup>65</sup>czerwieniec (daw.) — czerwony złoty, złota moneta obiegowana. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Biarritz — francuska miejscowość nad Zat. Biskajską, ok. 35 km od granicy z Hiszpanią, luksusowy nadmorski ośrodek turystyczny. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>minorowo — smutno, smętnie; od terminu muz. określającego tonację utworu: tonacja minor, tj. tonacja molowa. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Angoulême — niewielkie miasto w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Tours — miasto w środkowej Francji, nad rzeką Loarą, ośrodek kultu św. Marcina. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Orlean (fr. *Orléans*) — miasto w środkowej Francji, nad Loarą, ok. 120 km na pld.-zach. od Paryża; szczególnie znane jako ośrodek oporu podczas wojny stuletniej, oblegany przez Anglików i oswobodzony przez Joannę d'Arc. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Wystawa Kolonialna — Międzynarodowa Wystawa Kolonialna w Paryżu, otwarta od 6 maja do 15 listopada 1931, prezentująca wytwory i osiągnięcia wszystkich zamorskich kolonii i terytoriów zależnych Francji, a także głównych mocarstw kolonialnych, zorganizowana na terenie kompleksu zajmującego 110 hektarów wokół jeziora Daumesnil; odwiedziło ją 8 milionów gości. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>hazard (daw.) — ryzyko; niebezpieczeństwo. [przypis edytorski]

pomnikami świetnej przeszłości, jak i obecną dumę Paryża — Wystawę Kolonialną. Jest to wszystko naprawdę godne podziwu. Żegna nas również i nasza towarzyszka podróżniczka pani W. Kluczyńska, gdyż kończący się jej urlop nakazuje bezzwłoczny powrót do kraju, toteż odjeżdża pociągiem pospiesznym do Warszawy. Zostajemy sami wraz z wierną psiną Sojką, a przed nami jeszcze kawał Francji i całe Niemcy.

Dnia 13 sierpnia wyjeżdżamy po południu, kierując się ku północy na Reims<sup>73</sup>. Następnego dnia wjeżdżamy na pobojuwiska Verdun<sup>74</sup>. Najsmutniejszy to etap drogi naszej w wędrownicę po świecie. Pod Verdunem, patrząc na lasy krzyży, na zrytą pociskami ziemię, ogląda się hekatombę<sup>75</sup> światowej rzezi, tak aż do horyzontu ciągną krzyże i krzyże. Tu leży los bohaterów i zwycięska prawda Francji. Prawda, która tyle istnień ludzkich otuliła przesiąkniętą krwią ludzką ziemią. Francja dba o groby swoich bohaterów — skromnie tu i czysto, ale imponująco zarazem. Tylko smutek się rozsiadł i długo będzie świadczył o sąsiedztwie Francji z rozbójnikami świata. Ale dojdą tylko do Verdunu! Groby ich wstrzymają! Groby świadczące, że ponad wszystko jest miłość ojczyzny!

Po południu przekraczamy granicę francusko-niemiecką i kierujemy się na Frankfurt. Prawie od przekroczenia granicy niemieckiej powitał nas deszcz i bez przerwy towarzyszy nam przez dwa dni do Berlina. Nie mam absolutnie czasu na dłuższe postoje, dwa noclegi w Niemczech musiały być z samej konieczności. Na domiar nasza Sojka po zatrzymaniu się godzinę w kawiarni we Frankfurcie w wyraźny sposób zademonstrowała niechęć do dalszej jazdy, uciekając nam do pobliskiej kamienicy. My też zmęczeni już jesteśmy podróżą, a w dodatku nie opuszcza nas towarzyszący nam deszcz i chłód. Nie mamy ochoty zwiedzać również ciekawych miast niemieckich, jak Frankfurt, Lipsk i Berlin. Jednak ogólne wrażenie przejazdu przez Niemcy jest zastanawiające. Zewnętrznie Niemcy spotężniały, znać to w budynkach, prawie w każdym mieście w dużej ilości nowych, i co w dodatku wyczuwa się wzrokowo. Niemcy najlepiej wyszli na wojnie. Nie znać tu żadnych śladów zniszczenia, gdyż wojna nie toczyła się na ich terytorium. Obiektywnie jednak przy tym stwierdzić muszę, że stykając się z konieczności w drodze przez Niemcy — z Niemcami, ja jako Polak, nawet afiszujący się polskością małą polską flagą na motocyklu, nie doznałem od nich niczego, co by wskazywało na żywiołową do nas nienawiść, przeciwnie, jako podróżnik przemierzający ich kraj doznałem wiele uprzejmości, dobrej rady i wskazówek. Co więcej, pomimo wewnętrznie w Niemczech wyczuwanej biedy — Niemcy przybyśza nie wyzyskują.

Niemiec

Dnia 17 sierpnia przekraczamy granicę niemiecko-polską, zaraz za granicą zapada noc, dlatego chronimy się do hotelu w miasteczku Pniewy.

Jeszcze jedną noc spędzamy przed Warszawą w Kutnie. Dzień przed nią bawimy w Poznaniu parę godzin. Drogi w porównaniu z tymi, po których jeździliśmy w świecie, nie są w ogóle drogami i obawiam się, że na swojskich wybojach mój niezdmuszony do tej pory harley nie wytrzyma z wysiłku i padnie. Im bliżej Warszawy, tym gorsze drogi, jakby ktoś koniecznie serce Polski dla ruchu automobilowego chciał odciąć od reszty świata.

Droga

Dnia 19 sierpnia w drodze pomiędzy Warszawą a Łowiczem spotyka nas miła niespodzianka. Wiedząc o naszym w tym dniu powrocie, generalny przedstawiciel na Polskę firmy Harley-Davidson, pan Łepkowski, wysłał swego zastępcę w eskorcie kilkunastu motocyklistów-harleyistów<sup>76</sup> na nasze powitanie. Wręczono nam kwiaty, sprawiając szczerą radość za wyrażone przez to uznanie naszego, wyjątkowo dokonanego z pełnym powodzeniem, rajdu.

Takie są moje wrażenia z rajdu, obserwacje zewnętrzne, które ubrałem wam w czytane słowo.

Nie jestem człowiekiem zbyt młodym, bo jazdę żmudną przedsięwziąłem po czterdziestym roku życia. Odważyłem się na nią nie sam.

<sup>73</sup>Reims — miasto w pln.-wsch. Francji, ok. 160 km od Paryża. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Verdun — miejscowość i gmina w pln.-zach. Francji, miejsce najdłuższej (21 lutego–18 grudnia 1916) bitwy I wojny światowej, podczas której zginęło łącznie ok. 700 tys. żołnierzy francuskich i niemieckich, zakończony odparciem ataków niemieckich przez Francuzów. *Pod Verdunem*: dziś popr.: pod Verdun (ndm). [przypis edytorski]

<sup>75</sup>hekatomba — w staroż. Grecji ofiara składana bogom ze stu sztuk bydła; w przenośni każda wielka ofiara. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>harleyistów — dziś: harleyowców. [przypis edytorski]



Poza dbałością o siebie miałem stale w opiece dwie osoby, wymagające tego ode mnie. Samemu wybrać się w świat nietrudno. Opieka w podróży po obczyźnie z obowiązkiem czuwania w dodatku nad towarzyszami podróży komplikuje ją. Niemniej jednak ma to swoje bardzo dodatnie strony. Mężczyzna, który pełni obowiązek inicjatora i twórcy podróży w takich warunkach, jest prawdziwym mężczyzną.

Skąd do tego doszedłem? To zupełnie proste. Nic tak nie wyrabia inicjatywy, przystosowania się do zmieniających się warunków, nie pokrzepia mięśni i głowy sposobniejszej do wybrnięcia z każdej sytuacji nie czyni — jak sport. W zdrowym ciele zdrowy duch — głosi hasło sportu. Należy go umiejętnie zażywać, nie przemęczać nim ciała tylko, gdyż ból fizyczny powoduje w dużej mierze osłabienie władz umysłowych.

Do późnego wieku pozostaje wspaniały zysk krzepkiego ciała, drwiącego sobie z przeszkód stawianych przez życie. Piękne jest życie, gdy je sobie człowiek urozmaici wysiłkiem własnym.

Wysiłek ludzki bowiem jest trzema czwartymi kapitału, tj. pieniądza.

Aby użyć zdrowej przyjemności, nie należy kłaść nacisku na sam pieniądź, ale na zaradność własną, która bardzo, bardzo wiele w życiu potrafi uczynić.

Drugim czynnikiem w moim rajdzie była niewątpliwie maszyna, mój „harley z przyczepką” i z tak kolosalnym obciążeniem. Pozostawił bowiem on po sobie ponad 11 000 km przejechanych niezmiernie łatwo po różnych drogach i w rozmaitych warunkach. Pobił on wyniosłości Alp, kręte drogi Apeninów, wyboje na bocznych gościńcach, przewycięzył żar afrykańskiego słońca, kurzu pustyni nałykał się, a jako niestrudzony rumak nie potknął się nawet w powrotnej drodze na kocich łbach dróg dojazdowych do Warszawy.

Harley udowodnił mi, że mam mu prawo zaufać, jako maszynie świetnej i pewnej. Zdobył sobie pamięć wiernego przyjaciela.

Przeszedł przez ogniową próbę wytrzymałości i mam nadzieję, długo jeszcze będzie mi służył.

Zywiłem go w Polsce i we Włoszech mieszanką spirytusową. W tych krajach, gdzie mieszanki nie mogłem dostać, przejście na benzynę znosił bardzo dobrze, nie robiąc mi figlów. Pędząc mieszanką, lepiej na tym wychodziłem, gdyż technicznie rzecz biorąc, daje ona więcej mocy motorowi. Nie będę się bawił w chemiczny jej rozbiór, daje ona więcej plusów od benzyny, nie rozgrzewa przy tym tak motoru, jak się to przy pędzeniu go benzyną dzieje. Dziwi mnie jednak tylko, że stronią od niej jeszcze niektórzy motorzyści, ale mam pełne przekonanie, że czynią to bezwiednie, nie zdoławszy się przekonać o jej zaletach.

Wszędzie za granicą spotykałem najliczniej stacje z olejem marki Gargoyle, który cieszy się tam wyjątkowo doskonałą opinią i jest też w 90% przez automobilistów używany. Ponieważ używam tego oleju stale w kraju, nie omijałem go również i za granicą. Obiektywnie przyznam, że olej ten jest w praktyce najtańszym i najlepszym z istniejących smarów na skutek mniejszego zużycia się w czasie jazdy i świetnej pracy maszyny. Olej Gargoyle pomógł mi wydatnie w moim trudnym przedsięwzięciu.

Wspomnieć mi jeszcze wypada z wdzięcznością o oponach Goodrich, które bez szkody przebyły całą tę podróż; na nich to harley odbył swoją wędrówkę. Szczególnie na ostrych wirażach, które są próbą opon, poznałem ich prawdziwą wartość. Użycie ich oszczędziło mi wydatku zakupu opon w drodze. Na nich wyjechałem i na nich wróciłem do Warszawy.

Podnieść jeszcze muszę dobroć używanych przeze mnie świec marki Champion, chociaż w zapasie posiadałem dwie świece, nie zaszła jednak w czasie podróży potrzeba zmiany. Zajętemu ciągle kłopotami rajdu, nie przychodziło mi nawet na myśl skontrolowanie świec względem ich przeczyszczenia, tak doskonale spełniały swoją funkcję. Dopiero po powrocie przy gruntownym przeglądzie maszyny poddałem je jedynie lekkiemu przeczyszczeniu.

Ale jednak grunt to zdrowie! Zdrowie, zbiornik sił, które można wyladować w imponujący wyczyn. Pod tym zbiornikiem trzeba stale podsycać ogień, aby utrzymać regularną temperaturę. Dlatego dbałość o żołądek w czasie rajdu jest pierwszym nieodzownym warunkiem. Bez przestrzegania tego daleko się nie zajedzie. Maszynę oszukać można, dając jej gorsze paliwo, żołądek nigdy.

Ciało

Maszyna

Myślicie, że w tej męczącej podróży zawsze się znajdzie godziwe jadlo, takie jadlo z przystawkami i z ceremoniałem towarzyszącym kulturalnym wymaganiom? Za duże to, moi drodzy czytelnicy, wymagania, a moim zdaniem, po doświadczeniu rajdu zbytuczne. Żołądka nie można przeladowywać, musi on otrzymywać pożywienie lekkostrawne, a dające dużo ciału pożytku. Na wykwintnych potrawach restauracyjnych zamęczylibyśmy swoje żołądki i kto wie czy niejedno z nas nie przywiozłoby zamiast wrażeń choroby niestrawności. Jest to całkiem zrozumiałe. Często wdychałem do naszej zdrowej polskiej kuchni, nieobladowanej zbytńo sosami i przymieszkami aromatycznych korzeni. Gwałtowne zmiany kuchni, a więc na włoską, francuską i hiszpańską nie każdy żołądek wytrzyma. Uniknęliśmy tego, żywiąc się przeważnie prosto. Potrawy mączne, sery, owoce, nabiał i wino.

Jedzenie, Podróż

W czasie jazdy, w przerwach między jedzeniem, żołądek musi być czymś podsycony. Musi dostać strawę, nie dla zajęcia go, ale dla pracy dla niego i pożytku dla ciała. Tym cudownym jadłem jest cukier. Nie przeladowuje się nim żołądka, jest najtańszym artykułem bezsprzecznie dla tych celów, nie oszukuje żołądka, dając siły żywotne, i ogromnie syci.

Jedzenie

Przyzwyczajeni do cukru, używaliśmy go również bardzo dużo w czasie przepraw przez morze. Nie trzeba się było głodzić, unikając potraw z obawy przed morską chorobą.

I nasza wierna psina za naszym przykładem używała go nader często. Częściej o niego dopominała się niż my. Pies, czując zmęczenie podróży, znosząc ją gorzej od ludzi, dbał więcej o posiłek.

Cukier jest nieodzowny. On naprawdę krzepi siły. Jemu zawdzięczamy spokój żołądka w czasie długich jazd. Powiem nadto więcej. W Afryce, w suchym gorącym klimacie gasił doskonale pragnienie. Tam, gdzie tak trudno w ogóle o wodę dobrą, w zupełności ją zastąpił.

Jedzenie, Woda

Zgadzam się ze zdaniem, że sportowiec powinien jak najwięcej spożywać cukru. Z tego taniego pożywienia wynosi się korzyść żywotną: lekkość ruchów i niesłabnącą energię.

Nie piszę moich wrażeń dla propagandy, uważam jako czynny jeszcze weteran sportu zwrócić uwagę na ten czynnik pożywienia, dający ludziom pracy zysk. Praca idzie dobrze, podsycana cukrem.

Kiedy tak pokrótce omówiłem wrażenia z podróży, nawiązując i porównując do rodzinnych bolączek, tego, o czym się głośno mówi, że jest złe, wypada mi obiektywnie oddać pochwałę, temu, co w kraju jest nieszanowane, krytykowane.

Wezmę taki sobie nieodzowny dla wielu tytoń. Narzeka się u nas na monopol tytoniowy. Czy słusznie? — Nie!

Przejechałem przez Niemcy, Czechosłowację, Austrię, Szwajcarię, Włochy, kolonie francuskie północnej Afryki, Hiszpanię i Francję. W podróży, w czasie przerw jazdy czy przed pójściem na spoczynek, paliłem. Taki jest mój zwyczaj, albo jak chcecie, nałóg. Nie spotkałem się jednak z dobrym, dostępnym mi ceną papierosem. Paliłem jednak po to, aby ocenić nasze. Ujdą jeszcze niektóre w środkowej Europie, ale tam na południe bardziej, to już pożał się Boże. W Tunisie, Algierze, Oranie, kłąłem brzydko, prosząc Allaha o ciężką chorobę na fabrykantów papierosów. Życzyłem im co najmniej dżumy, bo jest najtrudniejsza do wyleczenia. Po co psują tytoń i papier na ten cel.

Z prawdziwą przyjemnością rozkoszowałem się w Paryżu kupionymi tam naszymi egipskimi. Miałem święto przyjemności zapachu i smaku. Proszę sobie wyobrazić, po śniadaniu (dobrym) na tarasie kawiarni wypalam cztery pod rząd<sup>77</sup>. Tak mi było za nimi tęskno.

Nie wspominałem dotąd w trakcie zdawania sprawozdania z wrażeń mego rajdu o wynikach jego, ściślej wyraziwszy się: o zysku osobistym. Nie może być naturalnie mowy o zysku materialnym, gdyż nie dla niego podjęliśmy taką uciążliwą drogę. Tego, co uzyskałem, nie nazwę jedynie przyjemnością, gdyż i taka w różnych kolejach mego rajdu często mi się zdarzała. Zysk osiągnięty przez rajd jest godny zakreślonej drogi.

Maszyna, Podróż

Przede wszystkim zacznę od zasadniczego środka podróży, który sobie obrałem, to jest motocykla. Jazda nim nie daje wygód takich jak samochód i w większym jeszcze stopniu kolej. Wprost przeciwnie. Zdobyć się trzeba na trudy, począwszy od pozycji, w jakiej

<sup>77</sup>wypalam cztery pod rząd — dziś popr.: wypalam cztery z rzędu. [przypis edytorski]

człowiek odbywa jazdę, a skończywszy na bezpośrednim zetknięciu się z ujemnymi działaniami atmosfery w czasie podróży. Dalej, nawet samochód nie powoduje dla jadącego w nim, nawet na dość gładkiej drodze (nie zawsze się je spotyka), tylu mniejszych lub większych wstrząsów co motocykl, bardziej czuły wskutek swego urządzenia technicznego aniżeli automobil. Wszystko to musi ustąpić wobec zysku samej jazdy. Ona wyrabia nieuspioną czujność na niebezpieczeństwo, wyiskrza czułość wzroku, upatrującego z daleka trasę jazdy. Styka jadącego wprost z atmosferą, dając szeroki oddech natury, a tym samym przysparza sił żywotnych. Otwiera przed oczyma widoki wspanialsze od oglądanych z okien wagonu kolejowego. Daje możliwość rzeczywistego oglądania kraju, przez który się przejeżdża. Np. Alpy są mniej wspaniałe i groźne, i potęgą masywów górskich, widziane z okien luksusowego pociągu. Przypatrzeć się im można dobrze z motocykla, pnać się na nim w pędzie pod górę i z niej powoli się na nim ześlizgując.

Przebyłem w 53 dniach ponad 11 000 km na trasie przez: Niemcy, Czechosłowację, Austrię, Szwajcarię, Włochy, Sycylię, Afrykę Północną, Hiszpanię, Francję i Niemcy. Widziałem wiele krain i wiele ludów. Przejeżdżałem przez wioski i osady i widziałem ludzi, i przypatrywałem się ich mrówczej pracy na ziemi. Nie zsiadając z motocykla, wypatrywałem złe i dobre strony życia miejskiego i wiejskiego i ludzie, widząc wędrowca, zbliżali się sami do mnie, dziwiąc się, że jestem im obcy wyglądem i zdrożony. Słyszeli ode mnie odpowiedź, że jadę z dalekiej Polski, o której coś słyszeli, czytali, może opowiadano im o niej, jako o kraju, który niedawno powstał. We mnie zobaczyli jej syna jednego milionów, który czynem przejazdu przez część świata na motocyklu, nie bacząc na niewygody i długą podróż, z imieniem swojej Ojczyzny witał ich. Prędzej zatrze się pamięć napotkanego w pociągu obcokrajowca aniżeli pamięć o nim jako o śmiałym podróżniku. Podobał mi się świat i ludzie, naturalnie nie wszyscy. I widziane kraje i narody ułożyły w pamięci cudowną mozaikę z widoków natury, obrazów miast i wsi, i scen ludzkiego zaobserwowanego życia. W środku tej mozaiki otoczony wieńcem sławy tkwi mój harley, wytrzymały, z baśni odgrzebany „żelazny rumak” rycerzy-zdobywców przestrzeni świata. Wróciłem z podróży silniejszy na zdrowiu, niż wyjechałem. Nerwy przeszły przez wszystkie niebezpieczeństwa, które są za mną, a w porządku utrzymywały je powietrze, słońce, najlepsi ich lekarze.

Podróż, Niebezpieczeństwo,  
Zdrowie, Słońce

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/masonski-na-szlaku-warszawa-afryka-warszawa>

Tekst opracowany na podstawie: Jan Masoński, Na szlaku Warszawa-Afryka-Warszawa. Kartki z podróży, wyd. "Polska Zjednoczona", Warszawa 1932.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7007-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.